

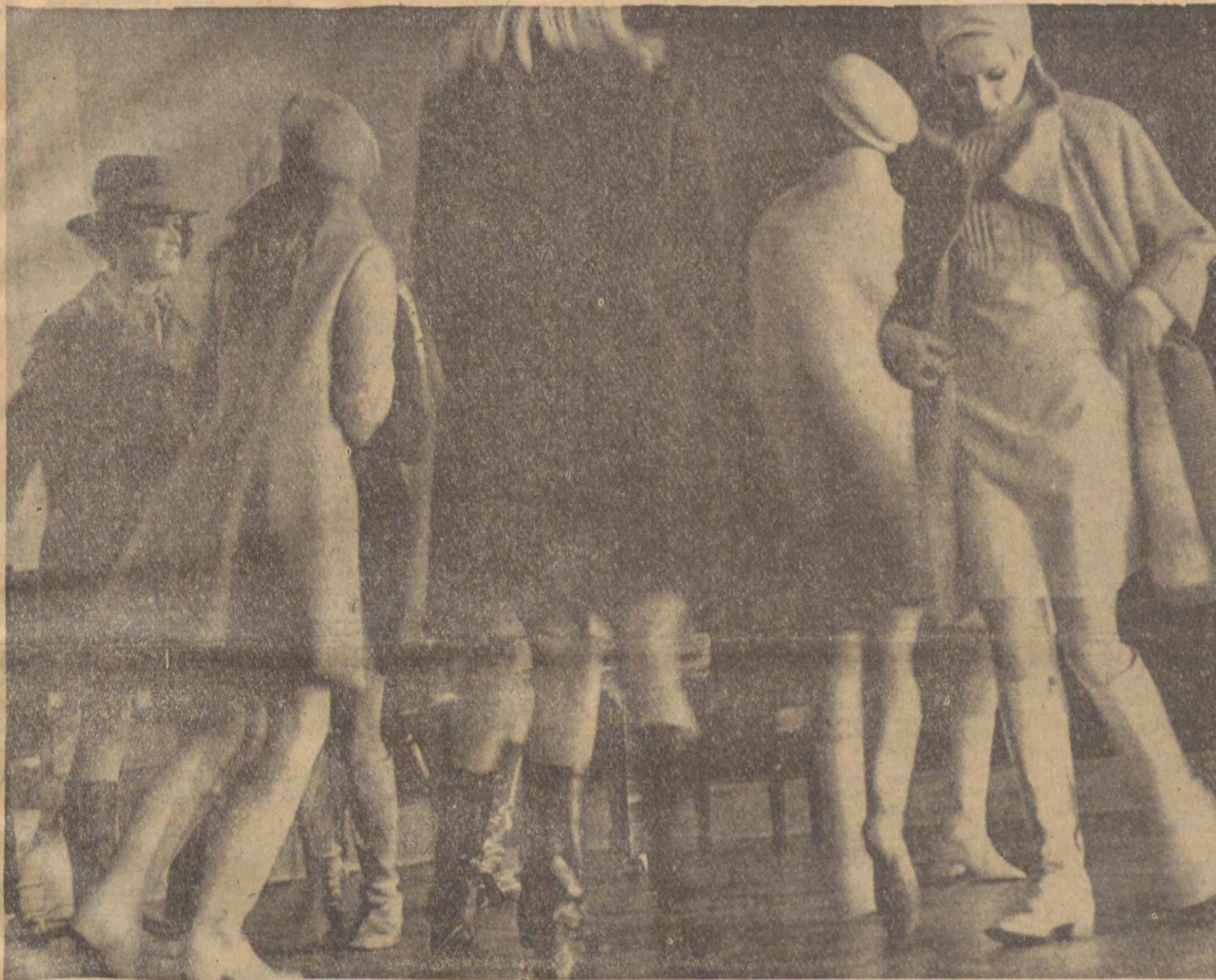
Dziś w numerze: • „Nie zasypiać gruszek w popiele“... • Migawki z Rzymu
• W podmiejskim tramwaju • Blagier • Napad na pociąg pod Widzowem
• Wiersze • Recenzje • Felietony

ODGŁOSY



Nr 50 (464)
17. XII. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Fot. E. Kudaj



Rys. P. Picasso

NAGRODY DLA „ODGŁOSÓW”

Zywotne i niezwykle czynne Towarzystwo Przyjaciół Łodzi przyznało kolejne nagrody za r. 1967. Pierwsza nagroda w wysokości zł 5000 przyznana została redakcji „Odgłosów” za działalność publicystyczną, poświęconą problemom społecznym i kulturalnym Łodzi, w tej liczbie za cykl dyskusyjny na tematy literackie, teatralne, urbanistyczne i wychowawcze.

Kolejną nagrodę w wysokości zł 3000 otrzymał Wacław Kondek za cykl rysunków i artykułów zamieszczonych na łamach „Odgłosów”, a popularyzujących sztukę Łodzi, szczególnie za serię rysunków, które ukazują urodę secesji.

Wreszcie nagrodę w wysokości zł 2000 — otrzymała Ewa Siemińska za działalność publicystyczną, dotyczącą młodzieży studenckiej.

Tak mile pokwitowanie wysiłków redakcji „Odgłosów” i jej pracowników jest nie tylko potwierdzeniem słuszności programowej pisma, lecz także bodźcem do dalszej działalności na polu pobudzania twórczości artystycznej i upowszechniania wartości kulturalnych.

Dziękujemy.

SZKOŁA CZY MODA?

Przyzwyczajaliśmy się do sukcesów i ambicji naszej plastyki. Nasza plastyka użytkowa nabiera na arenie międzynarodowej własnego odmiennego oblicza, stając się świetną wizytówką polskiej możliwości w tej dziedzinie sztuki. Mówi się często o „polskiej szkole plakatu”, czy „polskiej szkole grafiki książkowej”.

Będąc w stałym rozwoju, polskie wzornictwo wyrobów włókienniczych nie ma jeszcze zbyt długich tradycji ale istnieje już ono przecież od dwudziestu kilku lat. To właśnie ten rodzaj plastyki użytkowej najbliższy jest człowiekowi, towarzysząc mu niezmiennie przez całe życie. Sprawia to, że wzornictwo włókiennicze posiada może potencjalnie największą funkcję wychowawczą z wszystkich rodzajów sztuk plastycznych. I to nie tylko w sferze estetyki. Stąd wypływa potrzeba większego jeszcze zainteresowania sprawą wzornictwa włókienniczego.

Z pytaniem: czy istnienie „polskiej szkoły wzornictwa włókienniczego”, tak bardzo związanego z Łodzią, jest rzeczywistością czy pragnieniem przyszłości, zwróciliśmy się do przedstawicieli szkolnictwa artystycznego, muzealnictwa, przemysłowego domu mody oraz handlu zagranicznego.

MÓWI PROF. ZDZISŁAW GŁOWACKI — REKTOR PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY SZTUK PLASTYCZNYCH W ŁODZI:

Każdy wzór przemysłowy, a więc również i włókienniczy dyktowany jest przede wszystkim przez aktualną modę. Moda natomiast powstaje niestety nie u nas. Tym zasadom podlega zresztą przemysł wzorniczy niemal całego świata. Tradycyjne ośrodki, będące dyktatorami mody światowej — to jak wiemy — Francja i w nieco mniejszym stopniu Włochy. Jest to fakt zdefiniowany już historycznie, dlatego wszelka przemiana na tym polu następować musi siłą rzeczy bardzo wolno. Stąd też plastyk projektujący wzór tkaniny włókienniczej czy ubioru, poruszać się musi w obrębie obowiązującej mody, poszukując własnych rozwiązań.

Jest to niewątpliwie — wbrew może pozorom — przedsięwzięcie niełatwe. W Polsce brak było bowiem tradycji własnego wzornictwa. Nasz przemysł włókienniczy zdany był przez długie lata swego rozwoju całkowicie na obecne wzory, przygotowane do produkcji seryjnej przez przeważnie niemieckie wzorcownie. I taki stan rzeczy trwał aż do wyzwolenia. Tradycja nowego polskiego wzoru dopiero się tworzy — liczy ona zaledwie 23 lata. Jak jest to mały okres dla powstania każdej tradycji — nie trzeba udowadniać. Nie więc dziwnego, że zjawiska tego czasem się jeszcze nie dostrzega.

Dalszy ciąg na str. 3



Wielkie rozczarowanie z rządowej koadycji Kiesingera — oto jak najkrócej można określić sens komentarzy prasy światowej w związku z pierwszą rocznicą powstania gabinetu współpracy CDU/CSU — SPD. Nikt rozsądny wprawdzie nie wierzył, aby ta jedna z najbliższych wielkość parlamentarnych zamierzała i była w stanie podjąć i rozwiązać problemy NRF, niektórzy jednak liczyli się, że zarysuje się pewien postęp. Nis z tego. Wielka koadycja w nowym opokowaniu swej polityki pozostawiła stare treści. Kiesinger i Brandt najwięcej oczekiwali, że baz rezygnacji z jakiegokolwiek założenia, bońskiej polityki, ukształtowanej przez Adenauera i Erharda, przy pomocy natomiast zewnętrznych pozorów — uda się im wyprowadzić NRF z politycznej izolacji. W tym celu proklamowali tzw. nową politykę wschodnią, której ostrze wymierzone było głównie przeciwko Niemieckiej Republice Demokratycznej, a która miała potwierdzić rozszerzenia Bonn do wyłącznej reprezentacji Niemiec.

Po roku koadycyjnych rządów można powiedzieć, że szeroko reklamowana „nowa bońska polityka” spaliła na panewce. Utknęła na martwym punkcie — i nie mogło być inaczej — próby normalizacji stosunków z Europą Wschodnią (pozi wymiana ambasadorów z Rumuniam na początku roku), nie udało się ocieplić klimatu w stosunkach z Francją, zawiodły próby wprowadzenia W. Brytanii do Wspólnego Rynku, nie ujednolicono najmniejszego kroku w kierunku zjednoczenia Niemiec. Natomiast w wielkiej koadycji pojawiły się głębsze szczeliny niż te, które towarzyszyły jej powstaniu. Ponadto zaczyna się buntować min. Strauss. Zależy się, że dochodzi on do wniosku, iż może już działać na własną rękę. Taką przynajmniej opinię można wyprowadzić z jego mądryckiego przemówienia.

Równocześnie z całą mocą ujawniły się bardzo niebezpieczne dla Europy symptomy faszyzmu w Niemieckiej Republice Federalnej. Następuje tam gwałtowny wzrost aktywności sił neofaszyzmu i militarystycznych, które zachęcone odniesionymi zwycięstwami w wyborach do sześciu lokalnych parlamentów — ponad milion głosów wyborców, 48 mandatów — otwarcie głoszą w swych programach awanturnictwo.

Hanowerski zjazd Narodowo-Demokratycznej Partii Niemiec, partii skrajnie prawicowej i nacjonalistycznej, której przewodni (nomen omeni) Adolf von Thadden, zażądał w listopadzie br. już nie tylko powrotu na ziemię nad Odrą i Nysą, ale kreślił wizję wielkiej Niemiec z Sudekami, Austrią, Górą Adyga...

Jest zrozumiałe, że tego rodzaju programowe cele nie mogłyby być ogłoszone, gdyby w Niemczech zachodnich nie było po temu odpowiedniego klimatu. Ale — jak czytamy w oświadczeniu rządu radzieckiego z 8 grudnia br. do rządu NRF — „partia narodowo-demokratyczna — to część istniejącego obecnie w NRF systemu społeczeństwa politycznego. Jej działacze w istocie rzeczy nie robią tajemnicy z tego, że postulaty NPD są zbliżone do niektórych tezami rządzącej partii CDU/CSU...”

Awanturnictwo NPD jest zatem bezpośrednim produktem oficjalnej polityki Bonn, zasadzającej się na nieuznawaniu powojennych faktów w Europie, dążeniu do współposiadania broni nuklearnej, co raz jeszcze potwierdziła ostatnia debata w Bundestagu, oraz pretensji do wyłączności występowania w imieniu Niemców. To uprawiana przez NRF polityka zrodziła warunki, w których niemiecki szowinizm może wodnosić głowę. Podkreślił to także w czasie warszawskiego spotkania, mającego charakter konsultacyjny, ministrowie: Gromyko i Rapacki.

(Wspomniane oświadczenie rządu ZSRR przestrzegając przed niebezpieczeństwami, wynikającymi z politycznego rozwoju sytuacji w NRF, zwraca się do mocarstw — stron Układu Północnoatlantyckiego, aby zatroszczyły się o realizację sensu i ducha tego układu na terytorium Niemiec zachodnich).

W bilansie rocznych rządów koadycyjnych jest więc bardzo niepokojąca pozycja i ona, a nie przystrojone często w piórka przemówienia przywódców bońskich, może być miernikiem ich politycznego działania. Powtórzmy raz jeszcze: wzrost klienteli faszyzmu NPD ma jedyną znaczną wymowę i wystawia cenzurkę tandemu rządowemu w Bonn.

Po tych kilku rocznicowych rozważaniach proponuję Czytelnikom przeniesienie się do Nowego Jorku, gdzie obraduje XXII sesja ONZ.

Zgodnie z przyjętą, a nie zmienioną dotąd decyzją, obrady sesji powinny się zakończyć 18 bm. Czy jednak zostaną one zamknięte w tym terminie, czy też sesja będzie trwała nadal z świąteczną lub nawet dłuższą — do lutego, marca — przerwą, jest obecnie przedmiotem zainteresowania obserwatorów.

Na porządku obecnej sesji — przypomnijmy — znajduje się 78 punktów. Około 40 z nich jest pracochłonnych i wymaga podjęcia konkretnych decyzji. Tymczasem dotychczas przyjęto 25 dokumentów. Jak zdążyć więc z nierozstrzygniętymi jeszcze sprawami, tym bardziej że wśród nich znajduje się pakiet propozycji rozbrojeniowych łącznie z traktatem o nierozpowszechnianiu broni jądrowej?

Z relacji nowojorskich korespondentów wynika, że każda z możliwości — a więc zamknięcia lub kontynuowania obrad sesji — ma swoich zwolenników. I tak np. za jej wznowieniem po przerwie opowiadają się podobnie kraje arabskie, pod czas gdy USA raczej chciałyby zakończenia. Komentatorzy wiążą pogłoski o takim stanowisku delegacji amerykańskiej z chęcią postawienia przez nią, na forum Rady Bezpieczeństwa kwestii wietnamskiej i łączącą się z tym obawą, aby Zgromadzenie Ogólne nie przyłączyło się do dyskusji na ten temat.

Najbliższe dni przyniosą wyjaśnienie, która z tendencji zwycięży. Raczaj jednak nie należy oczekiwać, że sesja zakończy swe prace w br.

W. SŁAWSKI

TKronika Tygodnia

■ Dowództwo marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych podało do wiadomości, że w najbliższym czasie ponad 6 tysięcy oficerów i szeregowców przeniesionych zostanie z floty Atlantyku i częściowo z floty Pacyfiku do służby w rejonie operacyjnym Wietnamu.

■ Naftowcy kubańscy pobili rekord wydobycia ustanowiony w roku 1956, który wyniósł około 80 tys. ton ropy naftowej i wydobędą do końca bieżącego roku 115 ton

„która przekształca Południowo-Wschodnią Azję w kostnicę”. Senator stwierdził, że w USA panuje opinia, iż „Ameryka zdradziła swą własną przeszłość i nie dotrzymała swych własnych obietnic... W tym względzie wywołaliśmy rozczarowanie w świecie oraz rozczarowanie u nas samych...”.

■ Nawigując do inspirowanego przez kubańskie związki zawodowe ruchu na rzecz zerkania się wynagrodzeń za



(Die Welt)

ropy. Stanowi to jednak mniej niż 5 proc. zapotrzebowania kraju na ropę naftową. Co 48 godzin do portów kubańskich wpływa radziecki statek-cysterna z bakijską ropą naftową.

■ Przewodniczący komisji sił zbrojnych Izby Reprezentantów Mendel Rivers zaatakował de Gaulle'a w związku z ostatnią konferencją prasową szefa Republiki Francuskiej. „Jest to człowiek najbardziej niewdzięczny w historii od czasu, kiedy Judasz zdradził Chrystusa — powiedział brutalnie Rivers. Nadszedł czas, kiedy Stany Zjednoczone powinny zacząć odpychać ciocy, jakie wymierza im de Gaulle”. Inny przed stawiciel Kongresu oświadczył natomiast, że nie zamierza wystąpić w obronie de Gaulle'a, ale że bardzo pragnąłby, aby „na czele rządu USA znalazł się człowiek, który by podobnie jak de Gaulle przedkładał interes swego kraju ponad wszystkie”.

■ Chiński dziennik „Wenhajpao” określa w następujący sposób zadania stojące przed literaturą i sztuką chińską: „Przeobrażenie literatury i sztuki jest doniosłym zadaniem, które musi być zakończone podczas rewolucji kulturalnej. Jest to bardzo trudne zadanie, które wymaga od nas zapłcenia wysokiej ceny. Rewolucjonści w gębie są bezwartościowi. Jedynie ci, którzy żyją między robotnikami, chłopami i żołnierzami nie zabiegają o reklamę swojej osoby, nie zaliczają się do pustych gadułów... są w stanie przychylić się do przemian rewolucyjnych w sztuce i literaturze”. Pismo ubolewa, że „nasze zespoły, kółka literackie i artystyczne oderwały się od robotników i żołnierzy, stojąc od dawna na uboższu toczące się walki”.

■ W przemówieniu wygłoszonym w senacie przewodniczący komisji spraw zagranicznych J. W. Fulbright wyraził przekonanie, że wojna wietnamska jest „wojną niemoralną i niepotrzebną”.

nadliczbowe godziny pracy w fabrykach, dziennik „Granma” uzasadnia możliwość osiągnięcia komunistycznych wsosunków międzyludzkich w warunkach zaoferowania gospodarczego. Prawda jest — pisze dziennik — że w społeczeństwie komunistycznym wydajność pracy powinna wzrosnąć tak dalece, aby każdy obywatel mógł żyć bez trosk materialnych i duchowych, ale prawdą jest również, że mogą istnieć komunistyczne stosunki w trudnych warunkach życia, przy istnieniu braków i zaofiania technicznego.

■ Dziesięciu producentów konfekcji damskiej w N. Jorku, którzy corocznie sprowadzają część swoich modeli z Paryża, postanowili zapoczątkować akcję protestacyjną przeciwko zakupom towarów francuskich. W ten sposób zamierzają oni zaprotestować przeciwko antyamerykańskiemu wypowiedziom de Gaulle'a.

■ Na łamach czasopisma „Woprosy Istorii KPSS” ukazał się artykuł podnoszący m. in. problem roli III Międzynarodówki Komunistycznej. W ostatnich latach — pisze autor artykułu — działalność Międzynarodówki Komunistycznej była przedmiotem zaciekłych ataków podejmowanych z różnych stron. Sens tych ataków jest jeden: jest to próba oczernienia rewolucyjnej tradycji Międzynarodówki Komunistycznej, pomniejszenia jej roli jako organizatora i wychowawcy ruchu komunistycznego, próba rzucenia cienia na KPZR, która odegrała doniosłą, aktywną rolę w działalności Międzynarodówki. Częstokroć usiłuje się przedstawić działalność Międzynarodówki, jako jeden łańcuch błędów i omyłek, jako coś, co poza szkoda nie przyniosło nie światowemu ruchowi komunistycznemu. Partie komunistyczne, ich wypróbowani przywódcy u dzielają zdecydowanej odpra-

wy tym falsyfikatorskim tendencjom.

■ Amerykańskie czasopismo „The Reporter” omawia wzrost wpływów radzieckich w basenie Morza Śródziemnego. Morze Śródziemne — podaje pismo — nie jest już dużej jeziorem zachodnim. Obecnie na wodach tego morza znajduje się ponad 40 radzieckich okrętów wojennych. Zapoleńnię przez jednostki ZRA izraelskiego niszczyciela „Eilat” — kontynuuje pismo — wykazało potęgę radzieckich morskich broni ofensywnych.

■ Agencja TASS informuje, że na ulicach Pekinu ponownie ukazały się samochody ciężarowe pełne żołnierzy i hunwejbiniów. Hasła i plakaty, które pokazały się na centralnych ulicach stolicy, nawołują do „obrony proletariackiego sztabu przewodniczącego Mao”. Pokazały się również apele nawołujące „do obrony towarzysza Lin Piao nawet za cenę krwi”.

■ W zachodniemieckim tygodniku „Der Spiegel” zamieszczono artykuł o bibliotekach dla żołnierzy Bundeswehry. Oto charakterystyka księgozbiorów, którymi karmi się żołnierzy zachodniemieckich. W szkole dla oficerów armii lądowej w Hanowerze, radzieckie bońskiej republiki mogą uzyskać informacje „o wyzywającej bogów” odwadze Adolfa Hitlera. Rekruci w pułku podchorążych lotnictwa koło Hamburga mogą się przekonać, że intelektualności, to „ropień na zdrowym ciele społeczeństwa”. W szkole Marynarki w Kilonii żołnierze mają okazję zapoznać się z koniecznością zastawienia eutanazji. W wydawnictwach dla żołnierzy, które można znaleźć na półkach bibliotek Bundeswehry, czytelnik może także odczytać: „Uderzamy naszymi mieczami głęboko w Polskę. Reka jest twarda, czoła twarde, serce jest twarde jak kamień”. Autorami większości tytułów literatury wojennej, których „Spiegel” wylicza na 83, są często byli hitlerowcy.

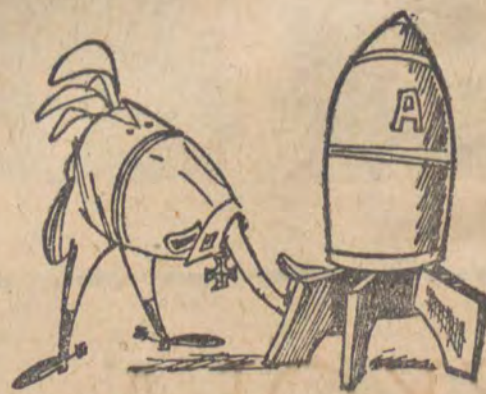
■ W związku ze spadkiem przyrostu naturalnego w Bu-

garii, proponuje się dla przeciwdziałania tej tendencji następujące przeciwdziałania: zachęcanie młodych do wczesnego zakładania rodziny; koszty utrzymania trzeciego dziecka w rodzinie winno przejąć państwo; rodziny nie pragnące mieć dzieci winny ponosić koszty utrzymania innych dzieci; podjęcie administracyjnych środków przeciwdziałaniem ograniczenia przyrostu naturalnego. W sumie chodzi o to, aby w najbliższych latach ludność Bułgarii osiągnęła 10 milionów obywateli. Obecnie liczy ona 8,3 miliona.

■ Od przeszło trzech miesięcy 7,4 miliona ludzi pracy w NRD przeszło na 5-ciodniowy tydzień pracy. Okres ten pokazał, że dzięki usprawnieniom technologicznym i organizacyjnym pracy jest możliwe realizować, a nawet przekraczać plany produkcji. We wrześniu i październiku osiągnięty został najwyższy od lat przyrost produkcji przemysłowej.

■ Pod koniec grudnia br. obchodzona będzie uroczystość w Jugosławii 30 rocznica objęcia przez Józefa Broza Tito kierownictwa KC Komunistycznej Partii Jugosławii. Komitet Wykonawczy KC ZKJ podjął uchwałę, by grudzień 1967 roku stał się miesiącem szerokiego zamajamiania z historią partii, studiowania historii jugosłowiańskiego ruchu robotniczego oraz roli Tito, jako przywódcy tego ruchu i walki wyzwoleniejszej wszystkich narodów Jugosławii.

■ W bieżącym miesiącu ma przybyć do Kairu ambasador Wielkiej Brytanii. Stosunki pomiędzy Londynem i Kairem zostaną w ten sposób wznowione po ponad dwuletniej przerwie. Część obserwatorów politycznych dopatruje się w tym kroku Wielkiej Brytanii, w związku z faktem, iż po agresji czerwocej Izraela USA utraciły wiele ze swych wpływów w państwach arabskich, chcąc wzięcia rewanżu za 1956 rok, kiedy amerykański sojusznik, wykorzystując podobną sytuację zajął szereg pozycji „w spadku” po Anglikach.



Strusia polityka Bonn.

LISTY DO REDAKCJI

Zwracamy się do Szanownej Redakcji z prośbą o wyjaśnienie niektórych zwrotów zamieszczonych w artykule pt. „Badylarz na cenzurowa-

nym” opublikowanym w numerze 47 „Odgłosów” z dnia 26. XI. br.

Oswiadczyliśmy, że autor tego artykułu, p. Ryszard Binkowski, zbyt śmiało, i nie podając faktów, stawia zarzuty urzędnikowi PP Warszawy. Owoce i Kwiaty za rzekomo uprzywilejowane załatwienie badylarzy prywatnych, z krzywdą dla państwowych zakładów ogrodniczych. Użycie określenia „urzednik” w liczbie pojedynczej, bezosobowo nadwęża opinię przedsiębiorstwa i krzywdzi pozostałych sześciu urzedników, którzy najczęściej wszyscy biorą udział w przyjmowaniu towaru, traktując dostawców, wszystkich bez wyjątku, uprzejmie i w

kolejności. Mogą o tym zaświadczyć na piśmie wszystkie uposzcznione zakłady ogrodnicze. Gdyby autor wspomnianego artykułu chciał zadać sobie więcej trudu i zaznajomić się ze strukturą przedsiębiorstwa, przekonałby się, iż sekcja kwiatów PP Warszawy. Owoce i Kwiaty postępuje zgodnie z obowiązującymi przepisami, ustalając każdorazowo z dostawcami przedsiębiorstw państwowych i zakładów prywatnych ilościowy asortyment kwiatów. Natomiast nasz magazyn jest upoważniony do przyjmowania dostarczanych kwiatów zgodnie z obowiązującymi zarządzeniami odnośnych ministerstw, które precyzują tryb

postępowania przy przyjmowaniu kwiatów do magazynu. W związku z tym oświadczamy niniejszym, że w naszym magazynie nie ma „mrocznych katów”, o których bez żadnego uzasadnienia pisze autor wspomnianego artykułu, oraz że nie załatwiamy w nich podejrzanych spraw.

Przedkładając powyższe wyjaśnienie, żądamy od autora artykułu „Badylarz na cenzurowanym”, p. Ryszarda Binkowskiego, przedstawienia konkretnych dowodów na podane w artykule zarzuty.

Stanisław Brzeziński
R. Kubiak

Łódź, dn. 28. 11. 1967 r.

SZKOŁA czy moda?

Dalszy ciąg ze str. 1

Jednakże pozycja wyjściowa powstającego po wojnie wzornictwa polskiego, nie była zerowa. Miała bowiem świetną bazę w bogatej spuściznie polskiej sztuki nowoczesnej — myślę tu przede wszystkim o sztuce nieadresowanej tzw. „czystej”. Wiemy, jak wielkie znaczenie miała w tym względzie działalność w Łodzi grupy „artyści rewolucyjni” — kierowanej przez Władysława Strzemińskiego.

Z tych inspiracji i tych doświadczeń wyrósł nasz łódzki kształt. Podjęliśmy i kontynuujemy tę myśl Strzemińskiego, tworząc formę plastyczną dnia codziennego — będącą poszukiwaniem najnowocześniejszego wyrazu plastycznego. I w taki sposób staramy się przekroczyć narzucone ramy aktualnej mody. Uważamy, że jest to jedyna droga prowadząca do wyzwolenia się od obcych ale zadawnionych u nas kanonów wzornictwa.

Dlatego też, biorąc np. na warsztat modny op-art, nie możemy opierać się przy projektowaniu wzoru na czysto szkieletowym powielaniu zewnętrznej formy tego stylu. Staramy się uchwycić głębszy sens op-artu, dotrzeć do takich jego elementów, których wartość nie będzie ulotna życiem jednego sezonu. Dlatego nasze wzory powstałe w związku ze sztuką optyczną, mają inny charakter niż reklamarskie i często natrętne oblicze op-artu na Zachodzie.

Te zasady staramy się wpoić naszym studentom i absolutnie opuszczającym mury uczelni — wnikliwe a nie powierzchowne szukanie nowej formy przy projektowaniu przez nich wzorów dla przemysłu włókienniczego. Tu drogą tylko możemy uczestniczyć w powstawaniu czegoś, co można by określić bardzo ogólnie polską szkołą wzornictwa. Tu również znajdujemy miejsce dla wykorzystywania motywów bogatej sztuki ludowej.

Udział absolwentów naszej szkoły w pracowniach wzorcowych całego przemysłu włókienniczego, domach mody, laboratoriach, w Instytucie i Centralnym Biurze Wzornictwa, wynoszący 80 procent zatrudnionych ogółem plastyków, udział w komisjach kwalifikacyjnych i branżowych pracowników naukowych naszej szkoły — może już stanowić pewną gwarancję, że wzornictwo to będzie się kształtowało w sposób nowoczesny i oryginalny.

Sądzę więc, że jeżeli szkoła polskiego — czy określając może precyzyjniej jeśli chodzi o włókiennictwo — szkoła łódzkiego wzornictwa, nie jest może jeszcze zjawiskiem ugruntowanym, to tylko dlatego, że tworzy się ona stale — narasta z każdym dniem, budując własną oryginalną tradycję. Uważam, iż za kilka lat pozycja tej szkoły wzorniczej będzie na tyle mocna, że stanie się powszechnie niewątpliwa.

MÓWI MGR KRYSZYNA KONDRATIUKOVA — DYREKTOR MUZEUM HISTORII WŁÓKIENICTWA W ŁODZI

Pojęcie „szkoły polskiej” w światowym wzornictwie materiałowej odzieżowej — w znaczeniu, jakie ma niewątpliwie uzasadnienie w stosunku do naszej tkaniny artystycznej — dla mnie raczej nie istnieje. Były jednak i są nadal próby wyłansowania naszego wzornictwa. Wspomnę tu choćby działalność Instytutu Wzornictwa Przemysłowego, który już wkrótce po wojnie, poza zorganizowaniem zawodowej grupy projektantów, zdecydował się również powierzyć projektowanie materiałów m. in. ludowym

malarkom z Zallpia. Były to niestety tylko próby, bo nie każdy motyw ludowy odpowiadał aktualnej modzie. Teraz dopiero okazało się, że zalpiańskie kwiatki i bukiety doskonale odpowiadałyby niedawnej modzie na „łączki” kwiatowe. Jednakże ta doskonała baza zalpiańskich pomysłów ludowych — w momencie, kiedy można było wyłansować polską „łączkę” — pozostała niestety całkowicie nie wykorzystana. Szansę tę natomiast natychmiast wykorzystał operatywny przemysł czeskosłowacki, wypuszczając wielki asortyment tego rodzaju wzornictwa.

Daleko nam jeszcze do tego, aby wzory polskich tkanin przemysłowych, zaczęły się wyróżniać w takim stopniu, że mogłyby to zasługiwać na określenie szkoły polskiej. Stworzenie oryginalnego wzornictwa jest zresztą zagadnieniem bardzo skomplikowanym. Określenie „wzór tkaniny odzieżowej”, nie jest bowiem pojęciem abstrakcyjnym zawieszonym w próżni. Łączy się ono bezpośrednio z techniką wykonania i surowcem konkretnej tkaniny, ta zaś ze strojem i modą i w takim dopiero kontekście należy ten problem rozpatrywać. Gdy mówimy np. o wzorze tureckim, widzimy popularny motyw „kajki”, wydrukowany na konkretnej tkaninie, wyczuwamy gatunek wełny, domyślamy się barw i fasonu stroju. Podobnie w zasadzie skojarzenie idzie za określeniem „krata szkocka”, czy za dość popularnymi nazwami jak „samodziały laszczkowskie” i „jedwab milanowski”. W jedwabach milanowskich np. delikatny wzór łączy się z miękkością i lekkością tkaniny, wywołując trwałe wrażenie.

To prawda, że moda wywiera decydujący wpływ na rozwój wzornictwa. Nie nabierze ono jednak własnego wyrazu tak długo, jak długo będzie jedynie starało się nadążyć za obcą modą. Modę trzeba wyprzedzać — przewidzieć ją lub narzucić — i w tym przypadku będzie można dopiero mówić o własnym wyrazie, własnej szkole tego wzornictwa.

Pewne możliwości wyłansowania współczesnych oryginalnych wzorów polskich projektantów w skali międzynarodowej widzę dla takich tkanin, jak bardzo modne żakardy ubranlowe i oryginalne pasiaki wełniane, do których natchnienia należy szukać w kompozycjach ludowych zapasek kieleckich czy sieradzkich.

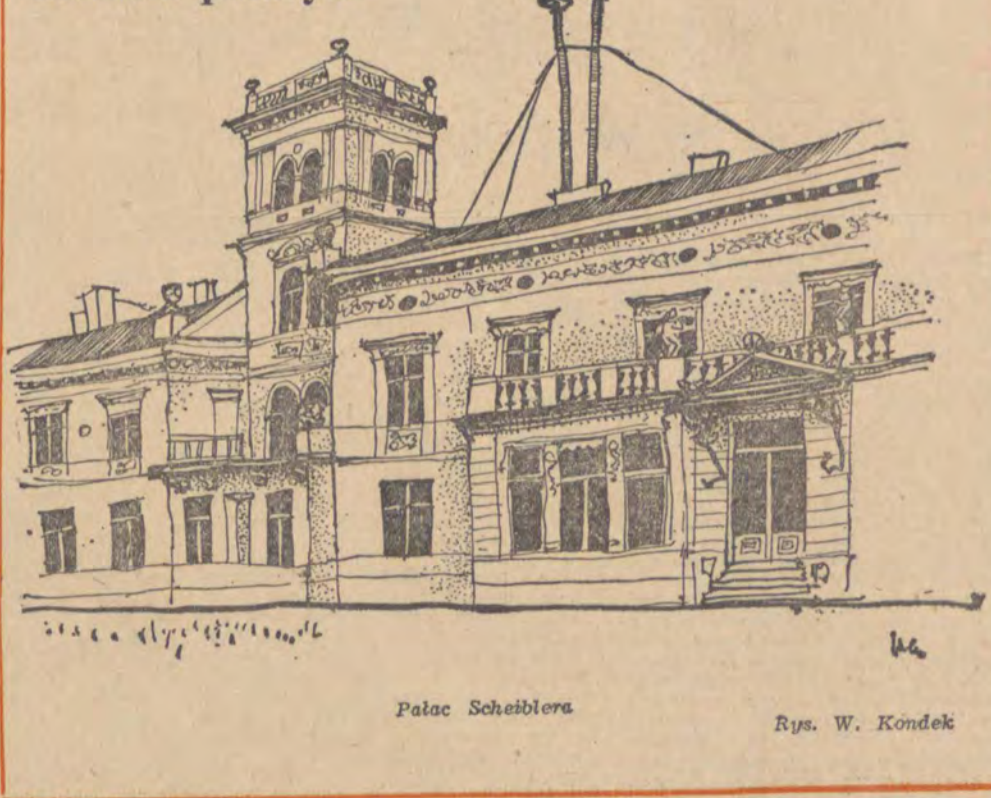
Widzę też możliwości przede wszystkim jednak dla tkanin lnianych. Sądzę, że określenie „len polski” szybko przyjęłoby się na rynku światowym pod jednym warunkiem: musi to być len trwale barwiony o dobrej apreturze. W chwili obecnej najpiękniejsze wzory występują na polskich satynach, które gatunkowo są coraz lepsze.

Przy pomysłowej ekspansji tych materiałów, pojawić się może pojęcie „polski żakard” czy „polski len”. Nie będzie to jeszcze równoznaczne z pojęciem „szkoła polska”. O taką pozycję trzeba usilnie walczyć i sądzę, że to jest pole do popisu dla naszego szkolnictwa artystycznego z łódzką PWSSP na czele.

MÓWI KRYSZYNA DEPCZYŃSKA — KIEROWNIK ARTYSTYCZNY DOMU MODY „TELEMENA”

Tendencje ku urzeczywistnieniu polskiej szkoły projektowania tkaniny czy ubioru istnieją od kilku lat. Łączy się to jednak z pewnym ryzykiem, polegającym na tym, że nie każdy wzór interesujący i oryginalny pod względem plastycznym, będzie jednocześnie sprawdzalny handlowo. Słowem, że coś może odpowiadać kryteriom dobrego i nowoczesnego wzoru a nie będzie odpowiadać gustom potencjalnego odbiorcy. Sądzę, że pojęcie takiego ryzyka jest nieuniknione. Jeżeli ma być mowa o śmiałym projektowaniu na dużą skalę. Bez tego ryzyka wzornictwo nie wyjdzie poza obręb ostrożnych projektów, które często wchodzi do produkcji seryjnej jako moda w najlepszym przypadku zeszlora. Duże możliwości stwarza tu umiejętne wykorzystanie motywów ludowych, choćby tak bogatej odziorów regionalnych. Z własnego doświadczenia wiem, jakim powodzeniem cieszyły się na wystawie odzieży w Moskwie w tym roku, kolekcje umiędzynarodowione najnowsza linia i krój z elementami typowych strojów regionalnych i historycznych ludów radzieckich. Kolekcje bardzo nowoczesne i jednocześnie jakże oryginalne. Choć i kolekcje

Łódzkie palacyki



Pałac Scheiblera

Rys. W. Kondek

odzieży polskiej były tam uważane za ciekawe poprzez umiejętną ekspozycję. Pokazaliśmy monokolorystyczne serie ubiorów w zasadzie bardzo skromnych ale umiejętnie wykorzystujących efekty wizualne.

Uważam, że we wzornictwie polskim jest jeszcze wiele eklektyzmu, mimo powstawania tylu ciekawych i oryginalnych wzorów. Rzecz polegałaby jednak na tym, aby w sposób odważny kontynuować te pewne już osiągnięcia naszego wzornictwa i aby robić to szybko. Bez tych wymogów trudno żeby mógł się krystalizować jakiś określony kierunek czy szkoła wzornictwa. To jasne, że takim przedsięwzięciem towarzyszyć musi zapewnienie odpowiedniej bazy materiałowo-technicznej, która posiada jeszcze dużo braków.

Z drugiej jednak strony, powstawanie oryginalnych i modnych wzorów można zapewnić wówczas, kiedy plastyk-projektant ma możliwości szerokiego poznawania najnowszych osiągnięć wzornictwa światowego. Konfrontacji takich można dokonywać w zasadzie poprzez wyjazdy za granicę do wielkich ośrodków mody. A nasi plastycy za granicę wyjeżdżają niestety za rzadko i za mało. To się odbija na naszych projektach. Twierdzą bowiem, że tworzenie obecnie stylu czy szkoły nie może się odbywać w całkowitej izolacji od innych uznanych już i utwierdzonych szkół wzorniczych. Łatwiej wówczas o wypracowanie własnej oryginalnej koncepcji wzoru tkaniny czy ubioru.

MÓWI MGR GUSTAW JAECKEL — DYREKTOR BIURA TKANIN BAWELNIANYCH „CETEBE”

Handel zagraniczny rządzi się swymi prawami, których przestrzeganie zapewnia użyteczność odpowiedniego efektu ekonomicznego. W handlu artykułami włókienniczymi żąda się aby wzór był modny i dostosowany do specyfiki rynku i jego potrzeb. Tego oczekują nasi odbiorcy zagraniczni. Biorąc te wymagania za podstawę, zamawia się tkaninę o takim rodzaju wzoru w naszym przemysle. Tak więc o wzornictwie polskiej tkaniny za granicą decyduje najnowsza moda oraz upodobania i lokalne gusty odbiorcy danego kraju.

W zasadzie, jeśli chodzi o bardzo wymagające rynki europejskie, wzornictwo pol-

skich tkanin nie różni się generalnie stylem od projektów francuskich czy włoskich. Po to, aby móc konkurować z przemysłami włókienniczymi krajów zachodnich musimy oferować tkaniny o wzornictwie i kolorystyce odpowiadającym aktualnym tendencjom mody. Tu opieramy się najczęściej na wzorach francuskiej firmy Cardin, specjalizującej się w przygotowaniu najnowszych kolekcji. Tak zresztą postępują również wielkie firmy amerykańskie, angielskie czy niemieckie. Kupcy zagraniczni nie poszukują wzorów różniących się od aktualnej, chwilowej mody, choćby wzory te posiadały cechy wyjątkowej oryginalności. Próby wchodzenia na rynki europejskie z tkaninami, które nie są oparte o najnowsze wzory, zdane są w chwili obecnej na niepowodzenie.

Inaczej przedstawia się sytuacja na rynkach egzotycznych. Tu oczywiście po uwzględnieniu już tradycyjnych upodobań w zakresie struktury i wzornictwa — sprzyjamy z powodzeniem tkaniny o wzorach powstałych całkowicie w Polsce. Czy jednak — można je objąć mianem stylu czy szkoły — mam wątpliwości.

Nie znaczy to oczywiście, że polskie wzornictwo jest złe. Jest ono na pewno twórcze i pomysłowe, o czym świadczy choćby fakt częstego kopiowania polskich wzorów przez projektantów japońskich, chińskich i wielu innych.

Aby można było mówić o dyktowaniu własnych oryginalnych wzorów przez nasze włókiennictwo, należałoby to powiązać z zabezpieczeniem odpowiedniej bazy materiałowej. To jest przede wszystkim problem zapewnienia na dużą skalę wysokogatunkowych barwników. Polskie barwniki mają jeszcze wiele braków asortymentowych i jakościowych. Sprowadzenie barwników z zagranicy trwa często zbyt długo. Jedynym rozwiązaniem w obecnej chwili — do czasu zapewnienia wysokogatunkowych barwników przez nasz przemysł — byłoby uruchomienie składu konsygnacyjnego któregoś z europejskich znanych firm chemicznych w Polsce. To dałoby szansę podniesienia poziomu kolorystycznego a także znakomicie przyczyniłoby się do skrócenia cyklu wykonawstwa deseni, co ma duże znaczenie w eksporcie.

Notował i opracował do druku:
IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

Nożycami przez PRASĘ

PRZED NOWYM ROKIEM

W okresie Nowego Roku chętnie bilansujemy rozmaite zyski i straty, niekiedy nie osobiście.

30 lat temu na łamach „Przeglądu Kulturalnego” wypowiedziało się grono interesujących osób na temat, jak będzie wyglądała Polska, Europa i w ogóle świat w 1967 roku.

Konfrontacje do latych przeprowadzili w „Polityce” Sł. Fofalskiński i J. Smietaniński.

Warbo z kilkoma przewidywaniami bliżej się zapanoszczone w wybuch wojny totalnej, Edmund Osmańczyk:

„groźba wojny istnieje będzie jeszcze przez wiele lat niemieckiej wojna nie wybuchnie. Walka ludów o zakaz broni masowej zagładzie potoczy się raczej jeszcze przez całe dziesięciolecie i choć nie da peł-

nego efektu to nie dopuści do wojny...
Mimo niejasności sytuacji zarowiadano koozycystencje jako fakt. Koozycystencja jej rozwój i regres — da się chyba zbilansować jakas linia krzywa, niestety.

Nie przewidywano, że Francja wystąpi z NATO. Osmańczyk także przewidywał iż:

Ulegną zastrzeżeniu problemy społeczne w Południowej Ameryce, w Południowej Azji i w Afryce.

Co do Chin: Oczywiście ówczesna znajomość faktów polityki chińskiej nie dawała podstaw do przewidywania późniejszych głębszych różnicowości w międzynarodowym ruchu komunistycznym, a szczególnie między KPCh i innymi partiami. Co więcej — przewidywano rozkwit „stu kwiatów” i wzrost autorytetu Chin Ludowych.

Wzrost ludności w Pol-

sce określano liczbą ok. 34 milionów. Tymczasem we wrześniu zarejestrowano trzydziestodwumilionowego obywatela. Obniżył się wskaźnik śmiertelności.

To chyba od czasów Zermoskiego świąta nas wzięła szklanych domów. No i chyba wyjątkowo rozmawiał się z rzeczywistością poeta J. Przytyk, zapowiadając:

„Kolorowe konstrukcje z tworzywa plastycznego z oknami i drzwiami z powietrza”...

Zdźmieje zresztą marza o drzwiach z powietrza!

Chyba przewidziała na temat szerokiego stosowania energii atomowej w naszym przemyśle. To może dlatego ekonomista A. Brzeski zbyt optymistycznie ocenił wzrost dochodu narodowego.

W twórczości artystycznej słuszenie przewidywało nie zupełnie klasyczne schematyzmu, rosnący udział czynników refleksyjnego i różnokierunkowego eksperymentatorstwa. Obecnie nawet obserwujemy wyraźną nieufność do eksperymentatorstwa.

Red. H. Korotyński („Życie Warszawy”) przewidywał dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

Widział dla gazet 12 kolumn na co dzień i 24 od święta!

Tak czy inaczej nie należy rozstawiać się z marzeniami...

„Nie zasypiać gruszek w popiele...”

Minęły czasy, kiedy chuligaństwo młodocianych traktowaliśmy jako objaw powojennego zdziwienia. Matki też już za sobą poglądy, że to wyłącznie nasza młodzież odbiega tak drastycznie od normy. Z rosnącym zainteresowaniem zaczynamy nasłuchiwać głosów psychologów i psychiologów, którzy nie oglądając się na socjologów i ekonomistów, próbują na własną rękę zbadać przyczyny zjawiska nastolatka. I tak z dotychczasową tezą głoszącą, że przyczyną wykoślenia się młodzieży należy szukać w procesach industrializacji, migracji i wylęgu demograficznego, zaczyna konkurować inna, która mówi: o patologii w sensie biologicznym, odgrywającej dużą rolę w kształtowaniu się osobowości niedojrzałej jednostki, o niezaspokojonych potrzebach uczuciowych, powodujących u młodocianych frustrację, agresywność i stałe napięcie, które w konsekwencji prowadzi do naruszania norm społecznych — wreszcie o rodzinie, która nie spełnia już roli katalizatora od groźnych wpływów zewnętrznych i przestała być uczuciową przysianką i oparciem moralnym.

W lipcu ub. r. odbył się w Paryżu kongres Międzynarodowego Zrzeszenia Sędziów dla Nieletnich, na który zjechało się około trzystu delegatów z dwudziestu sześciu państw. Po porównaniu różnych w treści ustawodawstw poszczególnych krajów, po rozpatrzeniu rozstrzygniętych uprzednio kwestionariuszy-ankiet, po długich dyskusjach, wreszcie okazało się, że wśród tego jak najbardziej przebiegającego kompetentnego zespołu specjalistów od spraw młodzieżowych przeważa pogląd, że środkami przeciwdziałającym demoralizacji i przestępczości nieletnich powinno być wychowanie.

Jeden z głównych referentów kongresu, sędzia belgijski F. Lox podał Polskę jako przykład państwa posiadającego najbardziej postępowe ustawodawstwo dla nieletnich. Cytował niektóre przepisy naszego Kodeksu Rodzinnego, który wszedł w życie z dniem 1 stycznia 1965 r., mówił o rozszerzeniu zakresu działania polskich sądów dla nieletnich przez utworzenie równoległych sądów opiekuńczych.

Istotnie te nasze dwie ambitne reformy poprzedziły wnioski Kongresu. Ale nie tylko nimi wyprzedziłyśmy inne państwa (a wśród nich Stany Zjednoczone): zgodnie z zarządzeniem Ministra Sprawiedliwości z dnia 1 lipca br. zostało wprowadzone zróżnicowanie warunków odbywania kary więzienia. Dlaczego zaliczamy i tę reformę na rzecz młodocianych? Dotyczy ona bowiem i ich także. Pamiętajmy, że młodzież od 17 roku życia podlega już sądom normalnym, a łączona — jak dotychczas — w celach więziennych z więźniami dorosłymi, podpadała pod wpływ nieraz

najgorszych elementów przestępczych, nie mówiąc już o zbrodniach. W tych warunkach kara więzienia stawała się dla młodzieży szkołą przestępczości udoskonalonej.

Nowe zarządzenie Ministra Sprawiedliwości ustala różne rodzaje zakładów karnych jak: więzienia — ośrodki pracy więźniów, zakłady karne przejściowe, dla więźniów młodocianych, dla recydywistów oraz dla więźniów z anomaliami psychicznymi.

To wyodrębnienie młodocianych jako osobnej kategorii więźniów. Jest wielkim zwycięstwem idei resocjalizacji! Nie wiem, jak ono wygląda w praktyce, w jakiej mierze zarządzenie, o którym mowa, zostało już zrealizowane. Jednak gdyby nawet dokonywało się stopniowo i nie tak szybko, jak byśmy tego chcieli, fakt wydania go już teraz mówi wyraźnie o wytyczeniu nowych dróg w rozwiązywaniu bolesnego problemu młodzieży społecznie niedostosowanej, o czym inne państwa dopiero dyskutują.

Ciekawym dokumentem w tej mierze jest zamieszczony w ostatnim numerze kwartalnika „The Journal of Criminal Law, Criminology and Police Science”, obszerny artykuł, poświęcony przestępczości w miastach amerykańskich i konieczności reformy wymiaru sprawiedliwości. Autorem jego jest nie byle kto, bo sam Robert Kennedy, były Generalny Prokurator Stanów Zjednoczonych, a obecnie senator stanu Nowy Jork. Pisze on między innymi:

„Sednem politycznych rozmów, dosłownie sprawa życia i śmierci jest dla milionów Amerykanów rosnąca nieustannie przestępczość. W ciągu ostatnich pięciu lat liczba ujawnionych zbrodni i poważnych występów wzrosła o 1/3. A dalej: „Przestępczość — to przede wszystkim problem młodzieży. W roku 1965 prawie 3/4 ogółu aresztowanych za poważne przestępstwa — to osoby pomiędzy 13 a 29 rokiem życia.”

Kennedy podaje drugoczęści krytyce amerykański system wymiaru sprawiedliwości, ale jednocześnie podkreśla, że: „aby zmniejszyć przestępczość, trzeba czegoś więcej, niż samego tylko udoskonalenia systemu przymusu prawnego”.

Specjalnie ostro piętnuje więzienie i te jego kardynalne wady, które właśnie u nas wymienione przeze mnie rozporządzenie — usuwa. Pisze on: „W ciągu jednego roku przechodzi przez nasze więzienia, wliczając osoby tymczasowo aresztowane, — ponad milion osób. Wśród nich było w roku 1965 około 100.000 młodzieży poniżej 18 lat. Nie przywiązuje się żadnej wagi ani do wieku osadzonych w więzieniach osób, ani do ich stanu zdrowotnego, ani do ich przestępczej

przeszłości. Wszystkich, bez jakiegokolwiek rozróżnienia, umieszcza się we wspólnych celach...”

Wracając do naszych chwalebnych reform stwierdzić trzeba, że odnoszą się one jednak głównie przede wszystkim do tej młodzieży, która już w mniej lub więcej poważny sposób weszła w kolizję z prawem. Pozostaje sprawa nie mniej rzucająca się w oczy, sprawa młodzieży jeszcze nie przesiępczej, ale włóczącej się ulicami miast, wystającej pod kioskami z piwem, przed kinami, wysiadującej niekiedy po kawiarniach, zaciepiającej ludzi, niszczącej w parkach ławki i latarnie, obrzucającej siebie, a często bogu ducha winnych przechodniów obrzydliwymi wyzwiskami — że wymienię tylko najniewinniejsze próbki ich poczynan.

Jak oczyścić miasta z tego elementu? A jednocześnie, jak ocalić tę wyobcowaną młodzież od niechybnego sroczenia się na drogę występku? Głowiono się u nas nad tym zbiorowo i indywidualnie, urzędowo i społecznie, rozważano, debatowano... Vox populi żądał sankcji karnych. Tak zwane czynniki miarodajne były innego zdania. Trudno by dziś ustalić z czyich ust i gdzie padło po raz pierwszy zdanie — zróbmy eksperyment. Ale od tego właśnie wszystko się zaczęło. Wszystko, tzn. przemyślana, skomplikowana akcja, której wstępem była orientacyjna rejestracja młodzieży od lat 15 do 18, nie uczącej się i nie pracującej (na razie tylko w Warszawie). Bowiem wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że to właśnie oni, różnie nazywani: niczymi, luzakami lub urodzonymi w niedzielę, przysparzają tyle kłopotów i przykrości — miastu. Pięć tysięcy — to na przeszło milionowe miasto chyba niewiele, a jednak... czuło się ich w Warszawie!

Trudny był poród Rozporządzenia Rady Ministrów o powszechnym obowiązku zdobycia zawodu przez młodocianych. Ostatecznie jednak rozporządzenie wykonawcze Ministra Oświaty do zarządzenia Rady Ministrów ukazało się w sierpniu br. Rozpłakotano je na ulicach miasta, odczytywano w kinach przed seansami. Tekst został jasno sformułowany:

„Rejestracja ma na celu skierowanie nie uczącej się i nie pracującej młodzieży do odpowiednich szkół zawodowych, względnie do pracy”. A dalej: „Winni niedopełnienia obowiązku rejestracji podlegają karze grzywny, a w szczególności karze pieniężnej celem przymuszenia w wysokości do 10.000 złotych”.

Miasto zostało podzielone na dzielnice, w każdej dzielnicy działa komisja rejestracyjna. W skład każdej wchodził: inspektor szkolny, pełnomocnik do spraw rekrutacji, psycholog, lekarz i przedstawiciel urzędu zatrudnienia.

Mógłby ktoś zrec: rejestracja rejestracja, ale co daje? Jakże są formy realizacji tej ostatniej szansy, jaką się daje młodzieży wytraconej z normalnego biegu życia? Otóż zostały utworzone dwa nowe typy szkół: roczne szkoły zawodowe dla absolwentów szkół podstawowych i dwuletnie szkoły zawodowe dla tych, którzy szkoły podstawowe nie ukończyli. Ci ostatni na świadectwie z ukończenia dwuletniej szkoły będą mieli adnotację stwierdzającą, że jest ono równoznaczne ze świadectwem ukończe-



nia normalnej szkoły podstawowej. Te nowe typy szkół usytuowano w zwykłych budynkach szkolnych, przez co dało się uniknąć upokarzającego klimatu izolacji.

Tyle jeśli chodzi o przerwaną naukę. Licząc się jednak z tym, że nie każdy z rejestrowanych zechce wrócić do szkoły, przygotowano pewną ilość różnorodnych skierowań do pracy, dając młodzieży i w tym możliwość wyboru. Ktoś złośliwy nazwał to posunięcie „zaproszeniem do pracy”. No cóż, zbyt świeżo mamy w pamięci pracę przymusową, aby się uciec do tego ostatecznego środka. Ale kto wie? Jeśli zawiedzie nas i ten najbardziej humanitarny sposób zaradzenia plądze chuligaństwa?

O przebiegu rejestracji warszawskiej pisało wiele pism mniej lub więcej ciekawie. Z każdej jednak relacji wynikało, że rejestracja ta stała się kopalnią wiedzy nie tylko o samej wykośnionej młodzieży, ale i o jej rodzinach, innymi słowy o środowiskach, które są wyłęgarnią tego elementu.

Z relacji Kuratora Stołecznego Okręgu Szkolnego, mgr J. Kuberskiego wynika, że w pierwszym rzucie zarejestrowano i skierowano do szkół 3.980 nastolatków, z tego 2.300 po prostu wróciło do nauki w nor-

malnych szkołach zawodowych, przerwanej z tych czy innych względów, reszta, tj. 1.680 umieszczona została w dwu szkołach nowego typu: jedno i dwurocznych (nazwijmy je uzupełniającymi). Około 1500 osób nie zgłosiło się w ogóle. Drugi etap prac wobec tego polegać będzie na zastosowaniu sankcji karnych wobec ich rodziców i umieszczeniu wyjątkowo odpornej grupy młodzieży w domach wychowawczych, gdzie zarezerwowano dla nich dwieście miejsc.

Zapytał ktoś może: no, pięknie, ładnie, zapisał się ci pupilkowice do szkół, ale czy do tych szkół chodzą? Dostali skierowanie do tych czy innych „zakładów produkcyjnych, ale czy się tam zgłosili? Czy podjęli pracę? Innymi słowy, czy eksperyment się udał?

Pan Kurator stwierdza, że w pierwszym miesiącu nauki, to jest we wrześniu, zanotowano bardzo dobrą frekwencję w szkołach specjalnego typu, ale to przecież zbyt krótki okres czasu, by z niego wyciągać jakiegokolwiek konkretne wnioski. Dlatego na odpowiedź w tym względzie musimy poczekać przynajmniej do półroczca.

Na razie trzeba mieć wciąż w pamięci stare przysłowie: „nie zasypiać gruszek w popiele...”

W podmiejskim tramwaju

Podmiejski tramwaj: dwa lub trzy splecie, czerwone pudła. Wjeżdżają z ulicy Północnej i z placu Niepodległości. Wożą ludzi z małych miasteczek, ze wsi i osad. Tysiące ludzi dziennie. Inteligentów i robotników, chłopów i przepuklikię młodzieży szkolną. Są siedliskiem ciasnoty i nudy, swarów i tandetnego humoru. Tu się rodzą przyjaźnie, miłość i nienawiść. W zatłoczonej ciżbie, nie zauważony, może z czelku, różnorodnie opinie zasłyszec — o sobie i sąsiadach przez ścianę. Tu mieszkawiec wsi i miasteczka cząstkę życia zostawia — wszak jedździ się godzinami.

1.

Niebawem odjedziemy. Przed oczekalnią na placu Niepodległości, stojący a na lawezkach rozparty, tłum ludzi pławi się w słońcu, w oczekiwaniu błogim na masowy, średek lokomocji. Alłści spokój ów jest pozorny, bo oto od ulicy Pałanickiej zajadździ tramwaj i ciż-

ba nerwowo pulsować zaczyna, choć wagony dopiero po przeciwniej stronie stanęły. Wyalają ze swych wnętrz przybyłą masę ludzką. Po tem ruszają puste, by okrążyć pętlę i nowy ładunek wciłonać. A „ładunek” prze naprzód, już na szynach się tłoczy. Zza poczekałni wybijuskie szklisty łeb tramwaju, motorniczy kinie i zwalnia, gdyż nie sposób przejechać. Panowie starsi i młodszy i molojce jurne do przodu wypruili, w uważnym i czujnym przycięciu stopnie atakują. W pedzle, w stopnie i uchwyty zapatrzeni, wpadają na dalek czekających i stryki bolesne czynią. Po tem kłab się wielki robi, pękają siatki z zakupami, lud na rozciapanych śliwkach w poślizg wpada, w wąskich gardłach wejścia wije się w walce o miejsce. Z kretesem bój przegrywa słabosilna pięć. Zwycięzcy z dumą na lawezkach rozparci, nosy w gazetę wciubili, by na otoczenie nie patrzeć; by nie widzieć siwej głowy nad sobą, okularów babcji sterczącej uparcie przy okupowanej przez meskiego chwata lawce. A po cóż były te zmagania, skoro w wagonie jeszcze sporo miejsca? Jasne, że o siedzenie szło! Godzinę przeciecz się jedzie! Ale pontektorzy z zaciekłe szturmujących, o dziwo, stoi, jakkolwiek wpadając do wnętrza, błyskawicznie odwrócić rozpataszczal. I ja wiem już, jakie wyrachowanie się za tym kryje. To jest specyficzny i chytry sarmatyzm, jedyny w swym rodzaju okaz dżentelmena i... egoizmu: mężowie, narzeczeni i sąsiedzi żyćzliwi po rękach sobie deptali, „ob-

ce” kobiecinę spychali, by dla własnych towarzyszek miejsce siedzące wytrzasnąć! A i molojce — ortalionowcy na trzy czwarte nie siedli: oni przestrzeń zwycięwa na pomostach zagarnęli. Z wiedzą się w szkołach obrzaskali, zarabia dwa patyki, strój i życie odrębne wiodą, siłoceni ze światem dorosłych prócn niaków. Wyobcowują się więc, nawet w podmiejskim tramwaju swoją imność manifestują — gdzie im tam w gronie bab podróż spędzać. Po tym pierwszym obrazku z następującym apelem się zwracam. Zapraszamy reżysera od westernu do Łodzi. Potrzebny. Po cóż forsę niszczyć na wyjazdy w Bieszczady, gdy na placu Niepodległości w godzinach szczytu staryści i aktorzy bezpłatni. Tu można kręcić obraz sielski i swojski, a imię jego: „Napad Indian na pociąg”. „Nowoczesny” western: miast dzikich twarzy cybernetycznych — rozwścieczone oblicza podłódźskich tubycojów; miast: pióropuszków i tomahawków — fruujące krawaty i guziki, zacienięte piąchy i latające serdelki. O le!

2.

Niebawem ruszymy. Nie zaraz. Na długiej linii motorniczowie podganiają, więc się te pięć, siedem minut okroi. Na postój, na oddechnięcie, uspokojenie oczu i odczytowanie karty. — Jak się tak godzinę ślepią bez przerwy, to kółka i flowerki zaczynają w galach skakać. I uważać trzeba, aż do bólu, w napięciu, że kręgi sztywnieją.

Konduktor też człowiek, motorniczy też. Konduktor piwko małe pod kioskkiem sączy, motorniczy na dół za wierzbę wyskoczył. Wagony ozywają się, dopelniają. W wagonach pasażerowie sami. Może jakiś zbytnik się znalazł i jaką korbkę popuścił? Ale by wtedy „tramwaj widmo” zasunał! Aż pod Rzgów, a tam — ino jeden tor! Dobrze, że to niemożliwe! Zgrzyliwiec jestem — toć Andrzej Makowiecki dość już krwi napisał tramwajarskiej braci.

Już motorniczy jest, już obcasem w gong wali rozgłośnie. Odjeżdżamy. Na zakręcie wołno. Maruderzy zielonych budek, spod cyrku, z innych tramwajów miejskich sztafki bieg przeszkodowy uskuteczniają. I sikolci śmiertelnie, byle szpicem buta o stopień zachwycić. Niejednemu śpieszno, a dwadzieścia minut to kawał czasu. Można obiad zjeść, dojść do domu. Czas jest drogi. Przecież większość chłopów-robotników wraca z rannej zmiany. W polu czeka robota — druga zmiana.

Konduktor od przedniego pomostu zaczyna — nie chce spiętrzać korka przy wejściu, gdyż nowi pasażerowie przybywają. Te konduktorę praktykę zna młodzież i godniejsi obywatele na trasie do Kolei Obwodowej mieszkający. W tylnej części wagonu się tłoczy, a nim dotrze tu sakramentalne: — Proszę, kto jeszcze bez biletu! — wybywają cichcem urzy Wenej! Rondzie Titowa i smarkate „knoty” i stateczne mamy. Byłe wygrać, konduktora zrobić w lewo, prze-

chytrzyć. Na złotówkę! I nie konduktora — państwo ludowe na złotciaka, cholera, okradają!

Przy „Cewce” i u „Horaka” wagony zostają nabite ostatecznie. Konduktor, wciśnięty w ką, ledwo ziple. Ochryplym głosem nawołuje bez przerwy o posuwanie się do przodu.

— Panie, a gdzie tu przód, a gdzie tył?

— Najlepi to zróbia wagony z gumy — żeby się rozciungali!

Tęć oto pasażerowie manifestują swój żal do MPK.

Jedziemy dalej. Wagon kolebie, podstakuje i jednostajny rytm wystukuje. Zdobycy miejsce siedzących smacznie kimają.

W równym rytmie głowy coraz niżej leca, między kolana spływają. Przy ostrzejszym hamowaniu tryka się w łono sąsiadki lub czolo sąsiada. Bez przeproszenia — to takie zwyczajne.

3.

Podmiejski tramwaj trzy „szczyty” przeżywa: ranny, południowy i wieczorny. Wtedy staje się małym piekielkiem, wypełnionym zapachem potu, dymu tytoniowego i innym jeszcze, jako że w okrutnym wy-cisku wszystko jest możliwe. Atmosfera staje się tak ciężka, że siedzi pod sufitem zawiesznie. W podmiejskim tramwaju można palić. Na pomostach ostatniego wagonu.

Jadąc do Włoch, wiedziałam, że w Rzymie poznać nie można w krótkim okresie czasu. Starannie więc przygotowywałam się do tego jedynego przeżycia, jakim jest pierwszy kontakt z „Wiecznym Miastem”. Wertowałam przewodniki, podręczniki historii sztuki, dzieł Rzymu i jego zabytków. Mnogożyli się w zawodowej pamięci nazwiska, daty, nazwy ulic, starożytnych pomników, kościołów i pałaców. Nie na wiele się to przydało. Krótkotrwały pobyt w Rzymie przyniósł mi więcej wrażeń emocjonalnych niż dziesiąt intelektualnych.

Pociąg „direttissimo” z Florencji, przując przestrzeń z szybkością 100 km na godzinę, długo przebiegał się przez rozbudowane przedmieścia Rzymu. Wreszcie dobiłam do dworca Termini. Bez tuneli i męczących schodów wkracza pasażer do rozległej, oszklonej hali dworcowej, wypełnionej ruchem i gwarem stołecznego miasta. Renowacja zniszczonego trzydzielnym pożarem budynku jeszcze niedokończona. Ponure mały zasłaniają wypalone miejsca na ścianach i posadzce. Straży oblicza się na miliard lirów.

Dworzec Termini stoi w centrum Rzymu, wystarczy opuścić szklany pałac, by zachłysnąć się wiekową trwałością miasta. Przed oczyma przyjeźdnego stoi masyw term Dioklecjana i wbudowana w ten według planów Michała Anioła bazylika Santa Maria degli Angeli. Zjawisko typowe. Mury świątyni i budowli pogańskich kruszone niszczycielskim działaniem czasu i świadomą akcją wyznawców nowego boga i nowej ideologii, przekształcały się w chrześcijańskie domy modlitwy. Wokół okaleczonych szczątków Forum Romanum na gruzach i fundamentach dawnych świątyni wyrastały pierwsze bazyliki: św. Sabiny, Konstancyjna, Kosmy i Damiana, Santa Francesca Romana i wiele innych. Nad pokonanymi bogami zatriumfował znak krzyża. Papież renesansu zahamował proces rozbiórki dewastacji ocalałych ruin. Niedobitki otoczone opieką stały się znów ozdobą miasta i chluba jego władców. Pasją i celem artystów było oddać dorównanie wzorom starożytności.

Nie sposób jednak poddawać się refleksji. Zgiełk i ruch uliczny oszalał i zmusza do ciągłej uwagi. Milion samochodów krąży po mieście. Powietrze drży od nieustannego huków, w nozdrza uderza niemila woń spalin. Prawdziwie szerokie arterie tutaj nie ma, ale na tych tzw. przelotowych płynie bez przerwy kilkupotokowym strumieniem rzeka wozów jadących z szybkością ograniczoną jedynie powstającymi zatorami. Zejście na jezdnię, by przebić się przez tę zwartą masę płynącego żelaza wymaga dużego opanowania i odwagi. Na wąskich ulicach szybkość pojazdów ograniczona, ale przechodźnię nie znajdzie schronienia na chodnikach, których albo nigdy nie było, albo zawalone są rzedem parkujących samochodów. Trzeba uważnie przedzielić się między nimi. Wzdycham z żalem do czasów, gdy po Rzymie krążyły jedynie dorozki konne a rzesze pamiątek nieśno odwiedzały miejsca święte. Dziś dorozki stojące pod Koloseum stanowią charakterystyczny akcent w jego otoczeniu. Dorozkarze w śmiejących cylindrach i kapotach wycekują na bogatych turystów, którzy przejeżdżając tym wehikułem zaliczają do egzotycznych przeżyć, podobnie jak spacer po starożytnych ruinach. Zniknęły też pioski p'elgrzymi. Nikt na kolanach nie odbywa wędrówki po Scala Santa, nie moczy utrudzo-

nych nóg w basenach fontann, nie ociera potu z ogorzonego w słonecznej spiekocie czoła. Turyści wyskakują z samochodów i autokarów obwieszonych najróżnorodniejszymi aparatami fotograficznymi, wlewają się gwarnie i wesoło do wnętrza zabytkowych świątyni. Specjalni cerberzy czuwają nad przyzwoitością patniczych strojów. Z dekoltem i nagimi ramionami można sobie poradzić, zrzucając byle chustę a nie bieda mężczyźnie w szortach, a kobiecie w mini spódnicy. Zakaz wejścia do kościoła nieodwołalny. Może też dlatego „fascynująca” moda mimi nie przyjechała się we Włochach.

Na próżno też drukowane napisy przypominają odwiedzającym o modlitwie i czci należnej bożemu domowi. Świątynie rzymskie zamieniły się dziś w muzea wypełnione szumem głośniejszych rozmów, różnorodnymi nawoływaniem przewodników, błyskiem fleszów i pośpiechem. W nabożeństwie odprawianym w jednej z bocznych kaplic w bazylice św. Piotra uczestniczy zaledwie kilkanaście osób. Rozpedzony pielgrzym współczesny nie traci czasu na pacierze. W programie dnia ma jeszcze

ZOFIA LIBISZOWSKA

Migawki z Rzymu

tyłe innych punktów. Wycieczkowe autokary snują się ustalonymi trasami, przewożąc swych klientów z miejsca na miejsce, odurzając ich nadmiarem wrażeń i pozbawiając możliwości samodzielnego przeżycia i refleksji.

Czuje się epigonem niepraktykowanej już dziś metody indywidualnego odkrywania miasta. Zagląbam się w jego kretę ulicę, kryjąc się tajemnic i zaskakujących niespodzianek. Wokół mnie wyrasta zadziwiająca opowieść, roją się ludzie i zdarzenia minionych lat i wieków, utrwalone na murach domostw, w średowiecznych zaułkach, w wirydarzach i dziedzińcach renesansowych pałaców.

Pierwotne miasto, jak uczył nas stary Liwiusz, rozłożyło się na 7 pagórkach. Nietrudno więc obejrzeć jego panoramę. By ją zobaczyć, ludzie z wysiłkiem gramolą się na szczyt kopuły św. Piotra. Ja wołałam spojrzeć na miasto ze wzgórza Janiculo uwiecznionego pamięcią narodową; z lat Risorgimento lub znaleźć się w obrębie obmurowania stojącego opodal kościoła św. Piotra in Montorio, gdzie zgodnie z legendą, podtrzymywana przez zakonników oprowadzających po klasztor-

rze, pierwszy namiestnik Chrystusa poniósł śmierć męczeńską.

W otoczeniu pini i cyprysów, rosnących wokół starodawnego kościółka, kontemplować można urok i piękno leżącego poniżej miasta, któremu nie ma równych. Wieże, kopuły i pomniki a między nimi dostojna owalna sylwetka Koloseum i zarysy łuków triumfalnych, wybijają się ponad czteryście dachów i zień ogrodów. Gęstą, ciemną plamą odznacza się Monte Pincio pokryty szumiącymi, roslimi piniami. W kępie zielonej kryją się zabudowania klasztorne na Aventynie, blask bije od kopuły św. Piotra, skrzydła archangielskie polyskują na rotundzie zamku św. Anioła. Świeża biela marmuru błyszczą pomnik Wiktora Emanuela, a czarne rumaki na jego szczycie ostrą linią zarysowują się na pogodnym niebie. Obok dostrzegam wieżę zegarową pałacu Senatorów na Kapitolu. Wzgórze, na którym stoję stać się zieloną pochylonością ku gęstym zabudowom Zatybru i wijącym się charakterystycznie bulwarom rzezywnym. Urobila je kreta wstęga niewidocznego z góry Tybru.

Iluż Polaków w ciągu stuleci kontemplowało piękno „Wiecznego Mia-

ka zadumę i refleksję budził nagrobek polskiego tułacza hr. Wasenau, nieślubnego syna Władysława IV i mieszkanki lwowskiej Jadwigi Luszczkowskiej. Po śmierci swego królewskiego ojca, Wasenau wyjechał za granicę szukając szczęścia i kariery dworskiej. Królowa Krystyna mianowała go kapitanem gwardii na swym rzymskim dworze, po jej zaś śmierci został szambelanem papieskim. Zmarłemu w r. 1698 pomnik grobowy wystawił kardynał Albani (późniejszy papież Klemens XI). Liczne pamiątki rzymskie związane są z rodziną Sobieskich. Na placza Trinita del Monti 14, w pałacyku Zuccari, widnieje nad drzwiami wejściowymi herb królowej Marysieńki, zamieszkującej tu przez lata po śmierci męża. W Rzymie też zmarł w r. 1714 drugi z jej synów Aleksander. Grób jego jest ozdobą kościoła Kapucynów przy via Vittorio Veneto. Sława i rozgłos zwycięstwa wiedeńskiego utrwalała została wielokrotnie. Najpopularniejszym jednak pomnikiem jego chwali jest, zdobiony galerią watykańską, obraz Matejki ofiarowany przez delegację społeczeństwa galicyjskiego w 200 rocznicę bitwy. Pomniki grobowe, marmury i malowidła, to część naszej kul-



Foto. W. Parys

sta”. Śladów polskich odwiedzin nie brak. Wśród krętych, ciasnych, ubogich uliczek na Zatybrzu wznosi się bazylika Santa Maria in Trastevere, ongiś tytularny kościół kardynała Hozjusza, pisarza-teologa, obrońcy katolicyzmu, zmarłego pod Rzymem w r. 1579. Bogaty barokowy nagrobek świadczy o miejscu jego wiecznego spoczynku. Kardynał Hozjusz był też hojnym opiekunem polskiego kościoła pod wezwaniem św. Stanisława ufundowanego dla zaspokojenia potrzeb religijnych tłumnie przybywającej tu Polaków. Liczne fundacje, zapiski, ofiary i dary zdołały fasadę i wnętrza tego polskiego kościoła, podnosząc jego rangę artystyczną i utrwalając pamięć jego dobroczynców.

Nie brak też pamiątek polskich w innych kościołach rzymskich. I tak np. w kościele jezuitów (il Gesu) odnajduje bogata, kolorowymi kamieniami wykładana płyta grobowa kardynała Jerzego Raczyńskiego, brata słynnego podróżnika Sierotki, który przybył do Rzymu w roku jubileuszowym 1600 i zmarł tu w wieku lat 44. Inny polski kardynał Jan Kazimierz Denhoff zmarły w Rzymie w r. 1697 spoczywa pod płytą grobową u św. Karola na Kwirynale. W kościele stygmatów św. Francisz-

ku narodowej i drobny choć istotny jej wkład w bogactwo artystyczne rzymskich zabytków. Ale w Rzymie znajdują się również żywe, tętniące inwencją ośrodki polskości. W uroczym zaułku vicolo Doria 2 mieści się stacja naukowa Polskiej Akademii Nauk. Bogata biblioteka prezentuje zainteresowanym dorobek naszej nauki humanistycznej, gromadzi wyspecjalizowany dział w zakresie stosunków polsko-włoskich, organizuje imprezy naukowe, posiada własne publikacje i rozwija tradycyjne zainteresowania między obu krajami. Inną inicjatywę podjęła grupa historyków — emigrantów opracowując polonica znajdujące się w rzymskich zbiorach archiwalnych; trud duży, uwieczony pokazujący już rezultatem. Tematów dla badaczy i miłośników włosko-polskiej przeszłości nie braknie.

W żadnej innej stolicy świata nie odczuwa się bowiem tak bezpośrednio nacisku, obecnej tu na każdym kroku historii, nie doznaje się takiego olśnienia w obcowaniu z nią.

Pogańskim bogom strzegącym życiodajnych wód Fontanny del Trevi w wieczór księżycowy rzucam zdawkową monetę, symboliczny okup, by pozwolili mi powrócić tu jeszcze...

Jest tłok, konduktor wepchnięty w kaciłki. Nie widzi, co się dzieje na przodzie. Z konduktora robi się „balona”: to tu, to ówde siedzący na laweczce pociąga z rękawa. Kobiety nie śmia protestować, bo i mało ich jest. Zezwolenie na palenie uczyniło samorzutnie ostatni wagon prawie wyłącznie męskim. Jest i inny podział, a łatwo go zauważyć na przystankach małych miasteczek i osad: podział na wagony dla „białych” i dla Murzynów. Wagon motorowy jest dla „białych” — tu wsiadają strojnieszkie panie i staczejnijsi panowie; matomiasteczkiowa elita. W wagonie doczepnym jeżdżą robotnicy i uczniowie. Nie twierdzą jednak, iż jest to żelazny i zasadniczy podział, jakkolwiek sami pasażerowie głośno się o nim wypowiadają. W doczepnym wagonie słony dźwięk odchodzi. Na pomoście stoi mężczyzna, który w rękach tekturę trzyma. Ona stółik zastępuje. Wokół czterech zawodników tnie zapamiętałe w „sześćdziesiąt sześć” lub „tysiąc”. Obok wianek kibiców doradza coraz wymyślniej, w niebieskawym dymie papierosowym migają karty i błyskają rozpalone emocja twarze. Tłok i zboczeniu sprzyja. Zwartość ciał burzy krew. Faet ascetyczny, zaroiłszy, z podkrażonymi oczyma wpruty w ciało stojącej przed nim kobiety. Tłum go naciska. Nadaremnie. Tu wolno się wymyka. Nadaremnie. W końcu brutalnie odpycha gościa łokciem, gdyż wstydzi się głośno protestować. A on cicho, namietnie: — Co się pani ciskaż, jedyna okazała w tramwaju, w tłoku ser-

decznie się przytulił. — Tak czasem powstaje trwalsza znajomość, nawet dla nieśmiały: koleś sprytnie wsuwa do kieszeni upatrzonej dziewczynki karteczkę z danymi o randce. W doczepnym wagonie mówi się o złych majstrach na tkalni, o puszczalskiej sprzątałce i o wampirze w zakonnej szacie. Mówi się też o pogodzie, o przyszłych kopaniach i o cielniej krowie; o dumie miasteczka — C-klasowej drużynie i o polityce. Sądny dzień następuje w czas targowy. Wtedy wagon jest rozgadany i rozkwakany, a już specjalnie — zasmrodzony. Ludzie wlażą w kosze, rozlewają śmiejanę i gnoją ją, na workach ze zbożem i kwiczącymi prosiakami się gnioją. Konduktor zaś w owe dni w detektywa się zabawia, gdyż handlarski naród chytrawy — za bagaż nie chce płacić. Kosze i kabiłki bezpiecznie po różnych kątach wagonów stoją i nikt się do nich nie przyznaje. Dopiero na przystanku docelowym konduktor właścicielki wychwytuje i przy pomocy milicjanta opłatę pośród lamentów i zlorzeczeń wyduśza.

4.

W motorowym wagonie bardziej intelektualne dyskusje odchodzi. O prywatnym życiu Łazuki, o nowej kreacji Ireny Santor, i za nie to skrobanek doktor X wille posawil. Opowiada się też „Tredowata” i ostatni odcinek „Świętego”. Jak widać, największy triumf święcił tania rozrywka i ploteczka ze świata artystycznego. I to jest ty-

powe, aczkolwiek nie jedyne. Potem tramwaj przekracza granicę wielkiego miasta i zaczyna się jeden tor. Na torze co dwa kilometry „mijanki” się znajdują. Tu nastają okropne zlorzeczenia i roztrzęsienie nerwów, gdyż przy nieprzychylniej aurze tramwaj nieraz po kilkanaście minut czeka na jadący z przeciwnika. Lecz i przy świetnej pogodzie zdarzają się postoje. Wtedy ludziska wywalają się na przydrożny rów, kości rozprostowują i papieroski kurzą, a dźwięki szumie. Nieroztropny człek pyta, czemu takie długie stanie, a już leci odpowiedź: — Powietrze z kola wyszło — pomnóż! — Zależy, z tyłu wagonu szum dochodzi, lecz to tylko ci spod zielonych budżet ulgę się czynią. I tak toczy się tramwajowy żywocik.

Wczesnym rankiem tramwaje wyjeżdżające z Łodzi są błogosławioną sypialnią. Śpi się na siedząco i stojąco, w najrozmaitszych pozach, z głową w kolanach, wspartą o szybę, czy też na kolanach sąsiada. Z braku miejsca drzemie się na kolanach przyjaciółki. Marzy się o łóżku, spokoju i domowym cieple. Ci ludzie wracają z całonocnego umeczenia, wyrwani z łoskotu i duchoty tkalni i przedziałni.

Jakem na wstępie zaznaczył — ludzie w podmiejskim tramwaju sypiają stale. Na wszystkich partry się jednakowo. Są wygodnicy i pozbawieni kultury. Czy wszyscy?

Tu jeżdżą ludzie różni. Niektórzy ze wsi oddalonych o pięć, siedem kilometrów od przystanku. Tyrąją na gospodarstwach, wycuci z sił kładą się spać o 22 czy 23. Wyrwali ze słodkiego niedosypku o godzinie drugiej lub trzeciej rano, często bez śniadania tłuką się do tramwaju. Zimą brną przez zaspę śnieżną, targani kaśliwym wichrem i mrozem. W wagonie szukają szczypty ciepła, byle tymi ludzkimi „chuchami” się ogrzać. Szybki zamarnie, zgrywusy-artyci domośli akty wydrapują. Tramwaj staje w polu, tory zawiane, lodowaty wiatr weiska się szparami nieszczelnych okien i drzwi. To w podmiejskim tramwaju narodził się zimowy slogan: — Panie, tu nie Afrika — tu się drzwi zamyka! Lecz i w najgorszych warunkach nie zabraknie pełnych okrucieństwa „operusów”, co z każdego wydrwć umieją. W zimowy czas podróżowała dziewczyna w ciemnych okularach. Młodzik uważił sztyliw rzucał, niby paryżanka od krowich cykliów, snopkowa hrabina itp. Nikt nie reagował, nawet gdy spod ciemnych szkieł poczęły spływać łzy — dziewczyna miała chore oczy, boleśnie i nieszczęśliwie. Wiec humorek koszmarny, ludzka obojętność okrutna.

Konduktor ludziom ma służyć, nim można pomiać. Był jakiś smark na uwagę, by nie podróżował na stopniach — odszczeknie się siarczysto. Za to, że się go przed kaletwem i śmiercią chroni. Tak samo reaguje pijak. Bywało, że na

dalekich przystankach, pośród późnych godzin, konduktor musiał używać dziurkacza nie tylko do kasowania biletów. Stał się wrogiem, gdy prosił o ustąpienie miejsca dla kobiety z dzieckiem. Jego słowa padały w próżnię, więc ustępuje miejsca służbowego. A jest zmęczony, wstaje bardzo wcześnie, by nocnym tramwajem dotrzeć do remizy. Często — miast w domu — tam właśnie nocuje, na stole. Nie dziwny się, że częstokroć bywa niezbyt uprzejmy. Szanowni pasażerowie winni są za ten stan rzeczy. Motorniczy. Wozł setki ludzi. Za nich odpowiada. Czy zawsze o tym myśli, czy żyje tak odpowiedzialnością w dramatycznych momentach. O tym się nie myśli, to siedzi we krwi stale. Ale gdy dzieje się coś złego, mam na myśli żonę i dzieci, siebie też. Miałbym nawet ochotę wyskoczyć.

Bywają motorniczowie dowcipni. Późną nocą pędzi sam wagon motorowy. Kilkunastu pasażerów. Nagle szatańskie hamowanie wyrzuca ich z ławek. Motorniczy woła tragicznym głosem. — Franek, cholera, zobacz — przejechał! — Konduktor rwie do przodu, za nim pasażerowie, wagon wolno cofa, a na szynach leżą osobno głowa i kadłub kota. I jest ubaw, bo to nie stwór ludzki. Na tym kończy przejażdżkę podmiejskim tramwajem. Wsiadam.

Czy burza w szklance wody?

Dokładnie przed rokiem, w grudniu 1966, szwajcarski historyk i teoretyk literatury, Emil Staiger, otrzymał nagrodę miasta Zurychu. W czasie uroczystości wręczenia nagrody laureat — jak to jest w zwyczaju — wygłosił odczyt, może właściwiej byłoby go wiedzieć przemówienie nt. „Literatura i społeczeństwo”, które wywołało prawdziwą burzę w świecie krytyków, publicystów i pisarzy. Głosów polemizujących ze Staigerem lub popierających jego stanowisko było tak wiele, że redakcja kwartalnika „Sprache im technischen Zeitalter” (Słowo w wieku techniki) postanowiła wydać numer specjalny poświęcony temu zagadnieniu. Zebrano więc wszystkie wypowiedzi, jakie pojawiły się w prasie i wraz z tekstem przemówienia Staigera opublikowało je w wiosennym numerze (kwiecień — czerwiec 1967). „Słowo w wieku techniki” na dwustu stronach druku. Pajęszyca ten numer trafił niedawno do moich rąk. Co powiedział Emil Staiger, że tak bardzo naraził się opinii intelektualnej swego (i nie tylko swego) kraju? Otóż ten znany i ceniony profesor zaatakował w sposób generalny literaturę współczesną za chłodnej Europy. Już sam fakt, że dokonał tego wykładu dowca uniwersytecki, jest wielce znamienne. Jak wiadomo profesorowie od literatury niechętnie zajmują się problemami współczesnymi. Dla nich zagadnienia literackie stają się godne uwagi dopiero wtedy, gdy wytrzywały próbie czasu i należą już do historii. Współczesność, zwłaszcza ta najnowsza, najbardziej aktualna nie przedstawia dla nich żadnego interesu, bał bywa niekiedy mocno podejrzana. Oczywiście są w świecie naukowo-akademickim wyjątki. Do nich właśnie należy prawie sześćdziesięcioletni dziś Emil Staiger którego w równym stopniu interesują sprawy związane z twórczością Goethego jak i Sartre'a. Trzeba jednak dodać, że jego stosunek do literatury współczesnej nie cechuje entuzjazm, lecz przeciwnie: daleko posunięty krytycyzm. We wspomnianym odczycie Staiger powiedział między innymi: „Przyjrzyjmy się treści nowszych powieści i utworów scenicznych. Rój się w nich od psychopatów, podejrza-

nych egzystencji, wszelkich okropieństw i wykonywanych perfidii. Pisarze umieszczają ich akcje w ponurych miejscach i we wszystkich, co piszą, dają dowody ośnie wającej wprost gry wyobraźni”. Przeskoczmy parę wierszy i zacytujmy dalszy fragment wypowiedzi Staigera: „Jeśli ci pisarze twierdzą, że kloaka jest obrazem prawdziwego świata, a sutenerzy, dziwki i pijacy — reprezentantami prawdziwego, nieuzminkowanego społeczeństwa, to ja się pytam: w jakim obracają się oni towarzystwie? Czyż nie ma już dzisiaj godności i solidności, świętych umysłów, dzielnych matek, które dzień w dzień dowodzą ogromnego poświęcenia, czyż nie ma ryzyka wielkiej miłości lub uczuć wiernej przyjaźni?”

Po czym autor stawia tezę, że nihilizm, tak charakterystyczny dla świata zachodniego, rodzi się zawsze w okresie dobrobytu i zamożności, że jest to w większości przy padku, artykuł luksusowy. Wobec tego jeszcze jeden cytat, będący jakby zamknięciem i podsumowaniem poprzednich rozważań Staigera: „Poważni, rzetelni, nie tylko w utworach literackich zagrożeni ludzie, którym nio tają burze, którzy głodują, znoszą fizyczne cierpienia, którym woda zalewa usta, tacy ludzie nie są nihilistami. Oni nie mogą sobie na to pozwolić. Oni bronią swojej skóry. Oni krzyczą do Boga i nie są w stanie pojąć, gdy ktoś zaczyna im opowiadać o własnym spustoszonej wnętrzu”.

Zwróćcie uwagę szanowni czytelnicy, że jak na profesora uniwersytetu, zostało powiedziane z dużym emocjonalnym zaangażowaniem i werwą stylistyczną. Naturalnie Emil Staiger nieco przeholował, ale zrobił tak, aby problem przedstawił w sposób wyraźny, bez niedomówień i osłonek. Pierwszy zaatakował Staigera — Max Frisch. Autor powieści „Homo Faber”, „Stiller” i „Powiedzmy: Gantenbein” zarzucał ordynariuszowi uniwersytetu zuryckiego, że swoją napaść przeurodził bez głębszego uzasadnienia, nie podając ani jednego przykładu z literatury „szwajcarskiej” czy innej. I Frisch pośpieszył z wyliczeniem autorów i dzieł, które dowodzą czegoś wręcz przeciwnego. Czy twórczość: Dürrenmatta, Brechta, Weissa, Nelly Sachs i innych nie budzi wiary w człowieka? Czy utwory tych pisarzy nie przedstawiają się nihilizmem i wszelkim skrajnym dążeniem w dzisiejszej literaturze?

Trzeba powiedzieć, że większość dyskutantów zajęła stanowisko polemiczne w stosunku do tezy i zarzutów Emila Staigera. Do dyskusji włączył się również sędziwy pisarz wiedeński, przyjaciel literatury polskiej, Franz Theodor

Csokor, który w swej zreszła krótkiej wypowiedzi powołał się na twórczość Juliusza Słowackiego, a ze współczesnych — na twórczość Zbigniewa Herberta. Inni zarzucili Emilowi Staigerowi, że jego atak na literaturę współczesną jest nazbyt ogólny, a przede wszystkim nieprzekonywający; że niewidzenie w wielostronnej i bogatej twórczości różnych postaw i różnych tendencji jest dowodem uprzedzenia i niechęci, a nie wyrazem naukowego obiektywizmu. Jeden z polemistów oświadczył wręcz: profesor Staiger należy z pewnością do znakomych znawców literatury klasycznej, jego przekłady autorów starogreckich nie mają sobie równych na obszarze niemieckiego języka, lecz, niestety, nie rozumie on lub nie chce zrozumieć ducha współczesnego piśmiennictwa.

Mimo tak skoncentrowanego ataku, Emil Staiger nie skapitulował. Jego zdaniem racja nie zawsze jest no sro nie większości. Większość może przecież uporczywie bro nić głupstwa. W następnych wypowiedziach pisał: „Chodziło mi o zwrócenie uwagi na pewne tendencje współczesnej literatury, które z roku na rok rozwijają się w sposób zaskakujący, i z powodu których niezliczona ilość ludzi, młodych i starych, zainteresowanych i laików cierpi podobnie jak ja”. Na innym miejscu Staiger dodał: „Wszystko, co jest tylko modne, starzeje się szybko. A nowoczesność, która szokuje najwięcej, starzeje się jeszcze szybciej”.

Czy spór, jaki wywołał Emil Staiger, stał się jedyną przysługową burzą w szklance wody? Nie sądzę. A czy dąby się odnieść go do naszych polskich warunków? Chyba nie. Na szczęście ekstremistyczne tendencje nie zagraziły literaturze polskiej w stopniu, który na terenie literatury zachodnio-europejskiej profesor zurycki uznał za wysoce niepokojący.

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Anna Bukowska — „Przemiany czasu”, W. Lit., cena zł 22.
- H. Bereza — „Doświadczenia z lektur prozy obcej” PIW, cena zł 18.
- E. Morris — „Posiew Hiroszimy”, W. Lit., cena zł 12.
- Tadeusz Walichowski — „Izrael a NRF” KIW, cena zł 12.
- Tadeusz Kotarbiński — „Medytacje o życiu godziwym”, W.P., cena zł 14.
- Jerzy Edigey — „Umrzęs jak mężczyzna”, Iskry, cena zł 18.
- „Osnowa” — Lato 1967,

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Obcy znajomy świat

„Wszyscy znają Hongkong” — pisał Robbe-Grillet w „Domu schadzek”. Tak, oczywiście, wszyscy znają Hongkong — podobnie jak wszyscy znają Robbe-Grilleta. W Polsce, naturalnie. Powstało przecież u nas wiele poświęconych mu esejów i wydano nawet o tej porze „Gumy”. Esejów powstało niebawem jeszcze więcej — niektóre będą zapewne wazyć co najmniej z pół Bartehusa (wyjaśnienie specjalne dla czytelników „Odgłosów”. Bartehes to współczesny krytyk francuski, równie ostatnio modny, jak kapelusze safari, a może nawet więcej, modny naturalnie w kręgach ludzi, marnujących życie na badaniu literatury. Wprawdzie podejrzewam, że niektórzy czytelnicy „Domu schadzek” pociągają do księgarń, żądając z powrotem 18 zł, za które kupują następnie pamiętniki pani de Beauvoir. Przeszrzęgam przed jak lekkomyślnym postępkiem — proszę schować Robbe-Grilleta na dno szafy — dla wniczek naszych będzie on kłopotliwym. A jeśli zechce ktoś zawrzasnąć „to nie ma sensu!” — odpowiadam z góry: tak, to nie ma sensu! Nie ma sensu świat Robbe-Grilleta, ponieważ sensu on już osiągnął dalej nie chce. Literatura wzmawia nam coraz uparciej, że gdzieś tam tkwi sens (ostatnio zwłaszcza miał on zastąpić wiarę w Siłę Wyższą i Niebo, które bezpowrotnie nam zabrano), że trzymamy jednak koniec tej nici, która snuje się gdzieś po niezbadanych labiryntach. U Robbe-Grilleta jest labirynt (i to jeszcze jak!), ale nie ma końca nici. Nie nie prowadzi do niczego. Wszelkie działania nie układają się według planu zmierzającego do jakiegos tam, choćby wątpliwego, celu. I co więcej, labirynt ten zbudowany jest ze ścianek, na których dostrzegamy strzępy znajomych fresków, w którym słyszemy echa znajomych nawoływań. Aluzyjność tej prozy wykonana jest naprawdę po mistrzowsku — nie w tym z nachalnością, a jednak można rozszyfrować, do jakich wzorów sięga zbudowany nim i przeznaczony autor. Ale ta aluzyjność zawiera w sobie zarazem protest, zaprzeczenie. Oto dzieło czyni biega po mrocznym domu, domu ze złego snu Kafki, otwiera różne drzwi, ale nie znajduje tego, czego szuka — nie znajduje Sądu i Wyroku. Nikt jej sądzić nie będzie, nikt jej nie powie, nawet tego, że jest winna. Jest to sen bez oparcia — sen ze snu. Ostatnia powieść Robbe-Grilleta (najlepsza i najbardziej wazka ze wszystkich) jest kpiną z różnych konwencji literackich i protestem przeciwko nim. Protestem sięgającym bardzo głęboko. Więcej nawet — jest to utwór bliźniaczy. Bliźniaczy przeciwko literaturze i mozolnie przez nią wypracowanemu „rozumieniu świata”.

„A więc — protestuję przeciwko przyczynowo-skutkowej konstrukcji fabuły, przeciw uschematyzowanemu przez tradycję podziałowi fikcji powieściowej na różne sektory. Senna w domu lady Awy mieszka się z widownią, postacie schodzą, sytuacje przenoszą się z okładki ilustrowanego pisma do „naprawdę tak było” lub też zdają się wychodzić prosto z imaginacji autora. Oczywiście, Robbe-Grillet postępuje się przy tym znowu technika aluzji, pokazując że skleił tylko w jedną całość to, co zrobił inni. A więc — w tym, co działo dotychczas, miało być po strzępie sensu, a jeśli zbierze się razem te epokowe zdobycze, okazuje się, że sensu diabli wzięli. To nie ja to zrobiłem, Alain Robbe-Grillet. To wy to zrobiliście! Robota piękna i przewrotna.”

A czas, o którym tyle pisa no w związku z twórczością Robbe-Grilleta? Nie jest to czas konwencyonalny. Często pisze się o tym, że postacie z jego powieści nie mają przeszłości. Nie mają, ponieważ jeśli coś w ogóle jest, jest teraz. „Było” jest konwencją, niebytem, kłamstwem utrwalonym przez tradycję. Proustowski cofanie się w przeszłość — to wyraz tego kłamstwa. Oczywiście, były zapowiedzi takiego potraktowania czasu w dotychczasowej literaturze. Ale Robbe-Grillet wyciągnął z tego maksymalne konsekwencje. „A „rzeczy”? Te słynne Robbe-Grilletowskie „rzeczy”? Rzeczy nie mają przecież sensu — sens został im narzucony, podobnie jak narzucono go ludzkiemu działaniu. Wszelkie metaforyzowanie rzeczy, przyniesienie im znaczenia jest obłędem (pisał o tym Błoński w swoim szkicu o Robbe-Grilleta). Rzeczy po prostu istnieją. Obok nas. Nieprzenikalne i od nas niezależne.

Czy świat Robbe-Grilleta jest straszny, bo pozbawiony sensu? — A czy sens, którym karmił nas egzystencjalizm, był radośny? Czy twórczość Robbe-Grilleta nie jest raczej wyzwoleniem z obłędu metafor,

doszukiwania się ukrytych znaczeń?

„Rzeczy”? Robbe-Grilleta nie są ponure. Zją beztrudnie i pogodnie, z dala od problemów egzystencji. Tak drobniawo, kilkakrotnie, z flaubertowską dokładnością i pasją opisaną nogą kobieca w złotym pantofelku zdaje się lekkim, choć wgardliwym kopnięciem odpychać ciężką kulę egzystencjalizmu. Co z nami zrobiliście? Widzimy (znowu na zasadzie aluzji) w „Domu schadzek” postacie, które zastygają w beznadziejnych (i zarazem groteskowych) gestach, postacie-marionetki, które nie prawie nie mówią. Dlaczego? Ponieważ język przestał już służyć porozumiewaniu się. Ponieważ jest uniemożliwiony. Nie jesteśmy sobie w stanie nic zakomunikować, prócz tego „Nigdy! Nigdy!” — nigdy się nie porozumiemy, i nie wiadomo nic, nie czuje się nic („nie nie ma w jej oczach”) — tak kończyły się. Ale — albo A więc jest to protest przeciwko literaturze, która doszła do granicy absurdu, to jest jej oskarżenie i oskarżenie... czego? Któż rozsądzi, czy literatura bierze się z wewnątrz świata, czy świat wewnętrzny z literatury?

Czy można tak pisać, jak Robbe-Grillet? Szkoda Robbe-Grilleta byłaby czymś potwornym, powtarzanie bliźniactwa — ośmieszający je. Ale — albo będzie koniec świata, albo coś z tego zostanie. Świadomość kłamstwa literatury i jego skutków. A w związku z tym — zerwanie z konwencją, a więc i technika, inaczej postępująca się czasem, fabuła, rzeczą i człowiekiem.

Robbe-Grillet otwiera kopnięciem lekko już uchylone drzwi. Co jest za nimi? A któż to wie? Może machniemy na to wszystko reką i będziemy oglądać telewizję.

* Alain Robbe-Grillet, „Dom schadzek”, tłum. W. Bienkowska, Czytelnik 1967.

spektakle tygodnia

Teatr	spektakle	widzów	%	
WIELKI	— „Książ Igor”	3	3828	100
	— „Carmen”	1	1276	100
	— „Straszny dwór”	1	1276	100
	— „Dama Pikowa”	1	1276	100
NOWY	— „Damy i huzary”	9	5400	96
	— „Blacharz burmistrzem”	1	700	100
MAŁA SALA	— „Szklana menażeria”	1	200	100
	— „Skiz”	6	1200	100
POWSZECHNY	— „Noc spowiedzi”	4	2640	100
	— „Tango”	2	1300	98
JARACZA w teatrze				
ROZMAITOSCI	— „Ogniem i mieczem”	4	2532	100
	— „Przełom”	2	1164	91
7.15	— „Zielony gil”	4	1688	100
OPERETKA	— „Niedziela w Rzymie”	7	6637	85
TZL	— „Los człowieka”	8	3554	100
	— Hedda Gabler:	7	1234	85

MACIEJ MÜLLER

Z doświadczeń łódzkiej MO w pracy nad młodzieżą trudną

Broszurę dostałem do ręki „jeszcze ciepłą”. Piękny, ilustracyjny papier; obmyślona przez artystkę okładka; wyraźny, czytelny druk; poprawnie odbite ilustracje zachęcają do przejrzenia.

Pierwszą refleksją po przeczytaniu książki była chyba myśl o tym, jak ważne jest współdziałanie w sprawach wychowawczych ze strony rozmaitych instytucji i organizacji, w których kręgu zainteresowani znajdują się dzieci i młodzież. Zwrócenie uwagi na konieczność współdziałania jest chyba centralną sprawą dla redaktorów książki. Pisana z punktu widzenia organów dbających o porządek i bezpieczeństwo wskazuje na to, co w ciągu sto-

sunkowo niedługiego czasu zbadano, czego dokonano bądź co zainicjowano i co wreszcie zaplanowano dla zmniejszenia przestępczości w Łodzi. Broszura ta prawdopodobnie była zaplanowana jako materiał szkoleniowo-instrukcyjny dla pracowników MO — co wynika z nazwy wydawcy i z przyjętej konwencji pisania — charakterystycznej dla instrukcji i sprawozdań z wykonania zaplanowanych zadań. Prawdopodobnym drugim celem wydania tej pracy było udzielenie informacji o pracy łódzkiej MO — pracownikom instytucji zajmujących się sprawami oddziaływania na młodzież — co z kolei da się odczytać z wysokości nakładu książki.

To, czego czytelnicy tej książki mogą się z niej dowiedzieć, obejmuje treść trzech rozdziałów. Spróbujmy pokrótce je przedstawić.

Pierwszy rozdział informuje o strukturze i organizacji pracy łódzkiej MO w dziedzinie profilaktyki i zwalczania przestępczości oraz moralnego zaniechania nieletnich. Dowiadujemy się z tego rozdziału o powołaniu przez Komendę Główną MO specjalnych służb zajmujących się wykrywaniem przestępstw popełnianych przez nieletnich, prowadzeniem dochodzeń w tych sprawach i rozpoznawaniem ich sytuacji geograficznej i międzyludzkiej. Praca nie mała i skomplikowana. W roku 1965 tylko przez m-

licyjną izbę dziecka przewinęło się 2393 zatrzymanych, z czego 1011 to uciekinierzy z domów rodzicielskich, a 279 — uciekinierzy z zakładów; wśród rozmaitych czynów (kradzieży, gwałtów, rozbójów) zwracając uwagę na 1287 dokonanych w 1965 roku przez nieletnich przestępstw — sprawy grupowe stanowiły ponad jedną trzecią tej liczby.

W drugim rozdziale — o formach współpracy MO z instytucjami i organizacjami celem zapobieżenia moralnemu zaniechaniu i przestępczości nieletnich — autorzy omówili współpracę z władzami oświatowymi, informując o wnioskach, z którymi łódzka Komenda MO występowała do Kuratorium, jak np. aby sprawy kradzieży w szkołach były rozpatrywane przez szkoły, czy o takich akcjach jak kontrola zabezpieczenia obiektów szkolnych przed włamaniem, kontrola kin, kawiarni, parków i innych miejsc grupowania się młodzieży tworzenie wśród aktywów nauuczycielskiego grup pedagogicznych ORMO, prowadzenie pogadanek w szkołach np. o zachowaniu się dzieci na wodach, przy ogniu, w razie znalezienia niewypałów itp. W tym samym rozdziale została pokrótce omówiona współpraca milicji z ZMS — jak włączenie się do werbunku do Ochotniczych Hufców Pracy wśród młodzieży nie u-

czającej się i nie pracującej, zainicjowanie kursów przyuczających młodzież do atrakcyjnych zawodów. Nadto autorzy piszą o współpracy z ZHP, z TPD i in. organizacjami, Wydziałem Zatrudnienia RN i wreszcie z terenowymi opiekunami społecznymi. Zakończenie rozdziału obejmuje także zasady tworzenia, działania oraz kierowania grupami pedagogicznymi ORMO. Grupy te działają już blisko od pięciu lat, kontrolując miejsca grupowania się młodzieży, prowadząc wywiady środowiskowe rodzin dzieci zaniechanych, rodzin alkoholików, ujawniając rodziny z dziećmi w szczególności sposobem zaniechanymi (handel uliczny, nieletni pijący alkohol).

Trzeci rozdział obejmuje informacje o wybranych problemach, stanowiących przedmiot badań sytuacji nieletnich i młodocianych nie przysposobionych społecznie oraz o warunkach resocjalizacji. Jedną z ważniejszych spraw wydają się wspomniane już przedtem ucieczki z domów rodzicielskich. Ucieczki z 40 proc. spowodowane są niepowodzeniami szkolnymi i niewłaściwymi reakcjami rodzin na te niepowodzenia i, zdaniem autorów, stanowią jeden z podstawowych czynników rodzenia się przestępczości, bowiem więcej niż połowa uciekinierów wchodzi w kolizję z prawem. Dalsze analizy sygnalizują ważki, również już uprzednio wspomniany fakt,

ż znaczna część nieletnich przestępców — „pierwszorazowych” jak i recydywistów — działa przeważnie grupowo. Następnie autorzy kwestionują, na podstawie własnych obserwacji, wartość sądowego orzekania o zawieszeniu kary pobytu w domu poprawczym, traktując okres pozostawania skazanego dziecka w dotychczasowym środowisku, jako czynnik hamujący uspołecznienie w stopniu chyba nie mniejszym, niż to czynią ucieczki z domów poprawczych i wychowawczych. Dalej autorzy przedstawiają informacje o niektórych wynikach badań środowiska szkolnego, domowego, badań lekarskich i psychologicznych — i najciekawiej chyba w całej książce opracowaną — sprawę alkoholizmu w Łodzi i związanych z nim spraw przestępczości nieletnich. Liczby w tej części pracy przedstawione — rzeczywiście zastanawiają. Część ostatnią książki stanowi wyciąg z ramowego programu zacieśniania współpracy między rozmaitymi instytucjami i organizacjami interesującymi się przestępczością nieletnich.

Nie tu miejsce, aby szerzej omawiać informacje podane w tej broszurze i postulaty umieszczone na jej końcu. Należy jednak zauważyć, że stanowią ją jądro pracy rozdział trzeci — nie został wybagony o tak podstawowe informacje jak zestawienie grup badanych z odpowiednimi

liczbami młodzieży normalnej, ani o wnioski wypływające z badań lekarskich czy psychologicznych. Można byłoby za kwestionować, a przynajmniej podać w wątpliwość niejedną z wniosków, niejedno ze sformułowań zwłaszcza z umiędzynarodowionych na końcach rozdziałów i podrozdziałów. Jednak chciałbym też móc pochwalić autora podrozdziału o działalności łódzkiej MO w usuwaniu zaniechań w rodzinach alkoholików — niestety, nie wiem, kto to napisał; równie nieznanym jest udział pracowników Woj. Poradni Zdrowia Psychicznego, którym redaktor książki dziękuje we wstępie — a szkoda, bo może warto byłoby oddzielić wnioski redakcji od wniosków wykonawców badań. W sumie — obok niewątpliwych braków i niedopracowań — autorem, redaktorem i inicjatorem należy się pochwała: toż to po Wrocławiu druga na szeroka skalę zaplanowana akcja zapobiegania przestępczości nieletnich zainicjowana i organizowana przez milicję. A niedostatek? Przecież, gdzie drwa rąbią...

Praca zbiorowa pod redakcją Henryka Piotrowskiego, Departament Szkolenia i Wydawnictw MSW. 1967. Stron 122 + 6 nb. Nakład 2.500 egz. Druk ukończono w październiku 1967. Do użytku wewnętrznego.

"Błędne gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy"

To co przywykliśmy określać mianem działalności artystycznej, w coraz większej mierze staje się dziś domeną kaznodziej i chałturzystów, gangsterów i filantropów, hochsztaplerów i prymitywów. Zanika stopniowo i bezpowrotnie chyba pojęcie artysty w dawnym tego słowa znaczeniu. Ma się tu kończyć świat, który rozbrzmiewał zawołaniem: „choć życie nasze solniczne nie warcie — evviva l'art!”. Jednym z ostatnich prawdziwych artystów, o renesansowym temperamencie i pasjach estety jest Luchino Visconti, włoski reżyser filmowy i teatralny, osobowość bujna i jedyna w swoim rodzaju, zwłaszcza na gruncie filmu — sztuki tak bardzo standardowej i praktycznej zarazem.

Potomek szlacheckiego rodu arystokratycznego, od lat młodzieńczych zdradzał poglądy skrajnie lewicowe. Został komunistą. Sztuka swą pragnął służyć wielkiej sprawie

wie odrodzenia człowieka. Edukację odebrał iście książęcy, gusty miał wyrafinowane, przesieknięte dekadentyzmem minionej epoki. Dostojewski i Baudelaire byli jego mistrzami. Arystokrata i rewolucjonista, cygan i bojownik unosił sobie mroczną namietność silniejszą od wszelkich ludzkich i boskich praw, chorobliwą skłonność, smak grzechu, bez którego świat, jego zdaniem, odarty był z resztek poezji. Ta poezja grzechu, boezja „kwiatów zła” stała się zasadniczym motywem, kanwą filmowej twórczości Viscontiego. Wyjątkiem stanowią dwa filmy: „Ziemia drzy” i „Najbardziej” — poczęte z ducha neorealizmu.

W dawniejszych dziełach Viscontiego dostrzec można wyraźne ślady wewnętrznego rozdarcia. Do głosu dochodzi w nich raz ideolog, człowiek zaangażowany w walkę o przeobrażenie oblicza własnej ojczyzny, to znów

wierny uczeń Dostojewskiego lub esteta patrzący na rzeczywistość poprzez pryzmat doskonale pięknych form. Najbardziej rewolucyjne dzieło włoskiego neorealizmu „Ziemia drzy” było zarazem najbardziej formalizującym i estetyzującym filmem owego okresu. To wewnętrzne rozdarcie widoczne było w sposób jaskrawy w innym wielkim filmie Viscontiego, w „Rocco i jego bracia”. Istotny i ważny problem społeczny gubił się w burzliwym dramacie namietności i postaw moralnych. Visconti, ideolog, wyraził postępowych poezjów, mówił jedno, a Viscontiego — artystę, wyznawcę wartości absolutnych — pasjonowało coś zupełnie innego. I pasje artysty okazały się silniejsze niż społeczny sens filmu. „Rocco i jego bracia” to film nekrotyczny wewnętrznie, a mimo to, czy może właśnie dlatego — wspaniały. Także jako świadectwo potęgi sztuki, wiedzę przewagi emocji nad intelektem.

Od tej chwili datuje się osobliwy przełom w twórczości Viscontiego. Zaczyna się on stopniowo odwracać od problematyki społecznej. „Lam part” to jeszcze dzieło o dużych ambicjach polityczno-ideowych, ale nade wszystko rozrachunek artysty z samym sobą, z własną przeszłością. To głos nostalgii za ową przeszłością bezpowrotnie utraconą i przez to — wielką. Za przeszłością własną i

własnej klasy, skazanej na śmierć i przez to jawiącej się w całym blasku swej świetności.

Dopiero jednak „Błędne gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy” to film, w którym osobowość Viscontiego ujawnia się najbardziej, najjaszrawiej, w całej gamie swych przymiotów, wad i sprzeczności. Wolny od serwitutów wobec literackich pierwowzorów (jak miało to miejsce w poprzednich filmach) reżyser tworzy swobodnie i bez ograniczeń swój prawdziwie własny świat. Świat powściągnięty to od razu anarchiczny w naszym odczuciu. Rodem ze starożytnej tragedii (Orestesia) i XIX-wiecznej opery włoskiej. A nad wszystkim unosi się duch Dostojewskiego traktowany jak najbardziej dosłownie. „Błędne gwiazdy” są filmem o miłości, — jakże by inaczej. Ale o miłości niemożliwej. Tylko taka bowiem miłość, zdaniem włoskiego reżysera, stanowić może twórczość sztuki. Tylko taka miłość stworzyła „Tristana i Izolda”, „Romeo i Julię”. Dziś namietność swoższędziaty, przybłakty. Runęły bariery społeczne i obywatelskie, hamujące realizację uczuć. Żyjemy w „świecie bez grzechu” — jak nie bez racji zatważył KTT, światem gdzie z dnia na dzień przestają istnieć rzeczy zakazane. Powszechna dostępność uczuć odbiera im siłę i żar.

Bohaterowie Antonioniego i Bergmana modlą się rozpaczliwie a daremnie o ogień miłości, bohaterowie Viscontiego mają go w nadmiarze.

Jednym z nielicznych tabu obyczajowych jest jeszcze miłość kazirodca. Ja właśnie uczynił Visconti przedmiotem dramatu, tworząc tak bliski jego sercu klimat „poezji grzechu”. Anemicznym i cierpiącym na ogólną niemocność bohaterom współczesnego kina przeciwstawił postacie z krwi i ciała, trawione burzami uczuć i niepokojem winy. Melodramatyczne skłonności Viscontiego osłabły w tym filmie swoje apoteum. Operowości sytuacji, inscenizacji i gry aktorskiej potrzebują jeszcze wspomniane już przeze mnie wrażenia anachroniczności. Przed naszymi oczyma przesuwa się film niby współczesny, a który nas orzeczyć zupełnie nie dotyczy. Urzekające widowisko, opowieść dawnych lat, której siła napięcia emocjonalnych obca już jest naszemu sposobowi odczuwania. Nie sądzę tedy, żeby film ten zyskał sobie rzeszę zwolenników chociaż jest piękny i tragiczny.

Poezja grzechu stapia Visconti ze spojrzeniem wyrafionego estety, lubującego się w barokowych kompozycjach kadrów, w grze światła i cieni, w zmysłowym malowaniu ciał i przedmiotów. Nasyca film szmatoczną niemal zmysłowością, przebi-

ającą z każdego obrazu i dźwięku. Jeżeli wspominałam że „Błędne gwiazdy” są filmem tragicznym, to nie tyle ze względu na operowe losy nieszczęsnych kochanków, ile z uwagi na to, że stanowią, jak gdyby requiem dla świata skazanego na zagładę; świata odchodzącego w zapomnienie. I chodzi tu zarówno o bezpowrotnie utraconą krajną młodość, na niebie której błyszczały gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy, jak i epokę historyczną, która dobiegła swego kresu. Epokę, do której należy ten wielki artysta całą duszą i sercem. Ogrozomna, bolesna nostalgia za przeszłością, rozpaczyliwy bunt przeciw niepamięci i przemianom przekała cały film Viscontiego, nadając mu niepowtarzalny klimat uczuciowy.

Akcja dramatu toczy się w starym etruskim miasteczku Volterra, skazanym na powolną, ale niechybną śmierć, na rozpylenie się w proch. Myśl o śmierci, o przekroczeniu granicy istnienia towarzyszy Viscontiemu począwszy od „Lamparta”, od rozważań księcia Saliny. Powrót do zaczarowanej krajiny dzieciństwa i młodości staje się ucieczką przed widmem śmierci, zapomnienia i nicności. Tak więc „Błędne gwiazdy” są filmem o miłości i śmierci — dwóch biegunach między którymi rozgrywa się życie człowieka; między którymi rodzi się poezja i sztuka.

Tele-obiektyw

PACHNĄCY TATARAK PANA ZINA

Zapachniało w domu tatarakiem w czasie programu „Piórkiem i węglem” nadanego w dniu 3 grudnia. Zabrzyli przed naszymi oczyma wszystkie odcienie zieleni. Tak było naprawdę, choć mamy jak dotąd telewizję czarno-białą i bezzapachową.

Od dawna starałem się dociec przyczyn wielkiego powodzenia programów prowadzonych przez profesora Zina. Przed paru miesiącami zdarzyło mi się siedzieć z panem Zinem w ogrodzie kawiarni Noworolskiego, czyli jak krakowiaczy mówią: u Noworola. Świeciło słońce, z Wieży Mariackiej dobiegały dźwięki hejnału, a profesor szkicował mi na papierowej serwetce w jaki to sposób odkrył starą kryptę ze zwłokami pod kościołem Mariackim.

Mówił jak zwykle sugestywnie i z przejęciem, a węglek w jego reku tylko śmigał po bibułce. Nagle do naszego stolika zbliżyła się pani w średnim wieku i powiedziała:

— Pierwszy raz widzę pana doktora w rzeczywistości. Nie mogłam się powstrzymać, żeby panu nie podziękować za piękne chwile, jakie dzięki panu przeżywamy co tydzień przy telewizorze.

I przed nieco zażenowanym profesorem Zinem spoczęła na stoleku kawiarzynie piękna papowa róża... Dowody sympatii, wdzięczności i zaufania do pana Zina mnożą się na każdym kroku. Jego programy wywołują żywą reakcję widzów. Do telewizji krakowskiej i bezpośrednio do profesora płyną setki listów z całego kraju. Ostatnio mówił o szkole w Woli Okrzejskiej i o konieczności ratowania jej budynku. W efekcie napłynęła zacyta na jego adres przekazy pieniądze z przeznaczeniem na szkołę w rodzinnej miejscowości Sienkiewicza.

Powtarzam, że kredyt zaufania do osoby Zina jest ogromny. Można tu mówić o rzadkim przykładzie utrafienia w szeroką społeczną potrzebę uderzenia w strunę, której odpowiadają rezonansom uczucia — chyba nie przesadzę — milionów ludzi.

Analizowanie źródeł sukcesu to rzecz zawsze trapiąca. Odstania bowiem fragment skomplikowanego mechanizmu społecznego,

pozwala poznać, jakie treści i w jaki sposób podane mogą liczyć na szeroką aprobatę. Dlatego programy profesora Zina i on sam jako główny wykonawca zasługują na baczną uwagę.

Dawniej skłonny byłem przypisywać sukces jego złotych rąk, która błyskawicznie paranoastoma pozornie nieskładnymi ruchami wyzarowuje na naszych oczach porwijące starej archaiki niekiedy, lub niemniej urokliwe pejzaże. To umiejętność nieziemnie rzadka i budząca podziw. Posiadał ją na przykład wybitny malarz (tak jak i Zin) architekt Stanisław Noakowski (1867-1928).

Ale powodzenie Zina to nie tylko podziw dla jego talentów manualnych. To sprawa znacznie szersza. Na program „Piórkiem i węglem” składa się nie tylko seria rysunków wykonanych w jego trakcie. To także słowo, jakie wypowiada Zin, to także sposób, w jaki się przed kamerami zachowuje. Zharmonizowanie rysunku ze słowem dopiero później daje treść wypowiedzi. Tę treść, w której bije źródło sukcesu.

A zatem powiedzmy sobie jakie to treści wydobywa Zin w swoich widowiskach mając do dyspozycji środki ograniczone: białe kartony, proste przybory rysunkowe i kamery jako narzędzie przekazu. Powiedziałbym, że treści te są z grubsza biorąc dwójakie: ogólnoludzkie i specyficznie polskie. Trudno zresztą dokonać między nimi precyzyjnego podziału. Oba elementy splecione są ze sobą nierozdzielnie.

Polskość w programach Zina tkwi w umiłowaniu kraju, jego uroków, jego drogi dziejowej, jego kultury. Pietyzm z jakim traktuje zabytkową architekturę, zaśloność przedmiotu i rzadki talent popularyzatora wiedzy, uzupełnia tę stronę jego wypowiedzi.

A treści humanistyczne, ogólnoludzkie? Te mieszczą się jak gdyby pomiędzy wierszami. Sączą w nas ożywczą barwę i wonie, odwołują się do wyobraźni i do atawistycznego przywiązania do natury tkwiącego w każdym człowieku. Dla zmeczonego zniechęconym i tempem życia, zatrutego spalinami samochodowymi i wyciekami z zakładów chemicznych mieszkanca miast treść i ton wypowiedzi Zina są szczególnie pożądanym balsamem. Myśle jednak, że szybkie procesy urbanizacji powodują, iż także dla mieszkańców wsi te programy stanowią skuteczną terapię.

Wszyscy spragnieni jesteśmy ożywczą kąpieli, jakiej dostarczyć może kontakt z naturą w jej formie dźwiękowej, nieskażonej reżką człowieka. Wiec choć w wieku laserów i podróży kosmicznych słowo Zina brzmi trochę archaicznie, dobrze przecieć, że w programach jego znajdujemy maleńką oazę z kryształicznym źródłem, którego spragnieni możemy napić się do woli.

Wreszcie ostatnia rzecz wymagająca wyjaśnienia: funkcja słowa w widowiskach Zina. Przede wszystkim uzupełnia podstawowe braki telewizji. Daje informacje o kolorach, lokalizuje szkicowane obiekty, obudowuje anegdotą, ożywia. Ponadto słowo Zina na-

daje całości zabarwienie emocjonalne przerywa uczuciowy pomost między widzem a efektami procesu twórczego, którego o tygodnia jesteśmy bliżsi świadkami.

I to jest chyba cała tajemnica sukcesów Zina, które spowodowały, że w społecznym odczuciu stał się instytucją. Dziękujemy, Profesorze!

Władysław Orłowski

POLETKO TELE-OBIEKTYWU

Nr 2

Przypominam, że rubryczka ta, jako stały aneks do Tele-obiektywu gromadzić będzie drobne żale pod adresem TV. Do współpraccy z Poletkiem zapraszam PT Czytelników.

* * *

GICZOŁY. Nie mam nie przeciw giczolom, pardon, przeciw nogom pani Rylskiej, którymi kiwa sobie w ramach powtarzanej wielokrotnie reklamy telewizyjnej. Gorzej, gdy się potem mówi coś w rodzaju: „Pani Rylska może nas rozgrzać ale zamrozić tylko lodówka marki „Iglon”! Zimno robi się przede wszystkim od tego rodzaju humoru.

* * *

DALIDA CONTRA POPIEL. Jeszcze o reklamie w telewizji. Ale nie o tej komercyjnej. Autorzy niektórych programów celują w różnego rodzaju zajawki w przerwach pomiędzy innymi programami. Na czoło wysuwa się tu „Giedla piosenki”, która sporo szumu robi wokół siebie na antenie. Ostatnio miały piosenkarską krakowską Urszulę Popiel zaprezentowano bezpośrednio po filmie o Dalidzie. Konfrontacja wypadła fatalnie, nie powiem dla kogo. Oto przykład reklamy według sprawdzonej zasady: kulą w plot. W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Film przygodowy ubrany na do-datek w kostium historyczny może zawsze liczyć na wierną sobie publiczność. Film amerykański „QUENTIN DURWARD” w reżyserii Richarda Thorpa w swym gatunku reprezentuje klasę bardzo dobrą. Scenariusz filmu oparto na powieści Waltera Scotta i choć zgubiono romantyczny nastrój historycznego romansu angielskiego mistrza, wykorzystano z umiejętnością, na którą składa zapotrzebowanie kina, atrakcyjną fabułę. Wydobyto przede wszystkim perypetie bohaterów i nadano im znakomite tempo.

Akcja filmu rozgrywa się w XV wieku we Francji rządzona wówczas przez Ludwika XI i opowiada

przygodę szkodliwego szlachcica, którego zadaniem jest obserwacja i sprowadzenie do kraju pięknej, a bogatej hrabianki Izabelli, która ma zostać żoną starego wujka na-szego bohatera. Przygody zbuntowanej i pięknej Izabelli i również uroczego, szlachetnego i dzielnego Quentina Durwarda wypełniają cały film, którego finał niestety przewidzieć. Nie ma zresztą w filmie żadnych niespodzianek, wszystko przetłoczono przez wzorową scenariuszowo-reżyserską maszynkę, skonstruowaną według zasad wszelkich wymagań filmowej zabawy.

Jednak nawet mistrz Scott skarżąc się na to, że nie zwrócono

uwagi na jego melancholijny żal z odchodzącymi tradycjami rycerskiego rzemiosła, bawiłby się chyba na filmie znakomicie. Bawiliby go stare, jak Szkołci i Cyganie, dowcipy o nich, cieszyłby go przekora i wdzięk emancypowanej Izabelli (Kay Kendall), zachwycała odwaga i uroda Roberta Taylora i aktorskie mistrzostwo Roberta Marleya w roli przewrotnego, a mądrego Ludwika XI. Pochwaliliby Scott wy-bór plenerów (na które sam był tak wrażliwy) do filmu, który istotnie rozgrywa się wśród autentycznych zamków w dolinie Loary i przyznałby, że filmowe przygody bohaterów nie przyniosą ujmę najlepszej fantazji historycznych ro-

mansów. Na pewno zaś klasą byłoby w dionie obserwując walkę, jakiej do tej pory nawet w kinie nie wymyślono — walkę na śmierć i życie stoczoną przez przeciwników wsiących na linach dzwonów, których dźwięk stanowi oczywiście nie tylko jakieś tło dramatycznej rozgrywki.

„Quentin Durward” jeszcze raz przekonuje nas, że w gruncie rzeczy w kinie liczy się przede wszystkim rzemiosło, gdy ono jest doskonałe, gotowiliśmy akceptować wszystkie „bzdurki” i oglądać fabuły, których najprzeróżniejsze warianty w końcu kręca się w jednym, zamkniętym kole.



Z racji ogólnej od dłuższego czasu posuchy — trudne stalemu recenzentowi dysponującemu tym samym co wszyscy w dowolnym repertuarze uniknąć przysłowowego „pie, ple”. Może on jednak mieć nadzieję, że skazani na ten sam los Czytelnicy i Widzowie wybaczą mu to i uwierzą na słowo, że jedyną radą na ten ogólny smutek jest obejrzenie jednego z ostatnich osobliwie przez Walta Disneya zaakceptowanych filmów, są nim: „WŁOCZĘGI PÓŁNOCY”

Już sam Disney i jego ludzie wystarczyły reklamę, ale przypomnieć jeszcze trzeba, że film oparto na powieści autora wszyst-

kich młodzieńczych lektur J. Curwooda, „Włoczęgi Północy” to opowieść o przyjaźni zwierząt i ludzi i pochwała piękna kanadyjskiej ziemi — jej gór, rzek i lasów o wszystkich porach roku. To chyba nieodosobniony pogląd że w chwili, gdy udaje nam się obcować z wolną naturą, z cudownym pejzażem i ze światem zwierząt, stajemy się jacyś lepsi, a osadzeni w wygodną cywilizowanego świata, którego za nie zresztą nie wyrzeklibyśmy się, tęsknimy za światem, od którego tak daleko odeszliśmy. A Walt Disney znalazł te nasze słabości i firmował filmy, które nam, akurat tyle co trzeba, rekompensowały tę tęsknotę.

We „Włoczęgach Północy” śledzimy przygody eskimoskiego psa — Nikiego i osieroczonego niedźwiadka — Niwę oraz ich wielkiego przyjaciela traperę André. Nie sposób się nie wruszać historią konieczną i Niwy, którą zrodziła konieczność przedłuża przyjaźń, a przerwały prawa natury. Szczere mu wzruszeniu towarzyszy podziw dla twórców filmu, dla ich cierpliwości i umiejętności, które trzeba było wyka-zać, by uzyskać efekty tak w rezultacie naturalne, że zapomnia się o trudzie, dzięki któremu je uzyskano. Przykładem niech tu będą wspólne wyprawy i polowania związanych ze sobą zwierząt, scena, gdy uzyskują wreszcie wolność

osobistą, czy wreszcie walki Nikiego z jeleniem czy wilkami. Pełne dramatyzmu są sceny, gdy Niki znalazłszy się w rękach awanturnika stanie się uczestnikiem psich walk w traperskiej osadzie. Nie pierwszy raz zestawienie świata zwierząt, w którym rządzi instynkt i walka o byt ze światem istot rozumnych prowokuje do smutnych refleksji.

„Włoczęgi Północy” to nie tylko znakomita rozrywka, to również wielka pochwała przyjaźni i szlachetności, to również niepowtarzalna lekcja przyrody — film dla młodych i dorosłych.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



ZMART OSIP ZADKIN

W wieku lat 77 zmarł jeden z wybitnych rzeźbiarzy, Osip Zadkine. Urodził się 14 lipca w 1890 roku w Smoleńsku. Gdy miał lat osiemnaście, wyjechał do Anglii, gdzie odbywał studia językowe oraz zajmował się malarstwem. Po krótkim pobycie w Rosji wyjeżdża w roku 1909 do Paryża, gdzie osiedla się na stałe. Studuje w Szkole Sztuk Pięknych. Od 1912 roku wystawia swoje dzieła w Paryżu, potem w Ameryce. Zaznajamia się z wybitnymi francuskimi artystami takimi, jak Max Jacob, Apollinaire, Delanuy, Cen-

drars i inni. W czasie pierwszej wojny światowej Zadkine walczy w szeregach armii francuskiej. Zatruty gazami bojowymi ciężko choruje i w roku 1918 zostaje uznany za niezdolnego do służby wojskowej. Był wielkim entuzjastą Rodina. W swej sztuce nie ulega modnym wówczas wpływom sztuki murzyńskiej. W latach 1921-1925 Zadkine pozostaje pod urokiem kubizmu. Wypracowuje sobie jednak swój własny styl. Był wielkim miłośnikiem muzyki i teatru, lubił zwłaszcza sztukę antyczne i szekspirowskie. Próbował też swych sił w prozie.

TOLSTOJ RZEZBIARZEM

Jeden z ostatnich numerów radzieckiego czasopisma „Litteratur-naja Gazeta” przynosi m. in. interesujący artykuł pióra N. Odnoratowa na temat prac plastycznych wielkiego pisarza rosyjskiego Lwa Tolstoj. Autor artykułu przeglądając pewnego razu jeden z tomów „Opisu

dział plastycznych Domu Puszki” natknął się na fotografię rzeźby wykonanej przez Lwa Tolstoj. Zainteresowany tym postanowił zebrać dalsze informacje o uprawianiu rzeźby przez wielkiego pisarza. Okazało się, że Tolstoj bardzo lubił rzeźbić i często się tym zajmował. I tak np. córka znanego rzeźbiarza N. A. Ramazanowa pisała w swych wspomnieniach o

tym, że Tolstoj prosił jej ojca o lekcje. Bywał w pracowni Ramazanowa często, zjawiał się punktualnie i pracował bardzo starannie. Także żona Tolstoj odnotowała w swych pamiętnikach, że pisarz przez dłuższy czas

pracował nad rzeźbą „czerwonego konia”. Nazwa pochodziła prawdopodobnie stąd, że glina jakiej używał Tolstoj miała czerwony kolor. Sam Tolstoj pisał w liście do jednego z przyjaciół, że zaczął się uczyć rzeźbiarstwa. Artysta w tym nie zostanie — pisał — ale zajęcie to dało mi dużo przyjemności i było bardzo pouczające. Tolstoj wyrzeźbił m. in. portret swej żony, popiersie rzeźbiarza Gincburga i wiele innych. Głęboko wykopywał sam, a jego dzieci mu ją przygotowywały.



Paul Eluard i Nusch

nie Eluarda z André Bretonem, który wywarł dość znaczny wpływ na pisarstwo Eluarda, utracone Gali (dziś jest ona żoną Salvadora Dali) w 1929 roku, pojawienie się w życiu poety, Mari

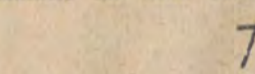
Bentz, nazywanej Nusch, często malowanej przez Picassa. Nusch umarła w roku 1946. W trzy lata później i na trzy lata przed swą śmiercią Eluard poślubił Dominikę.

PISMO MIĘDZYNARODOWE

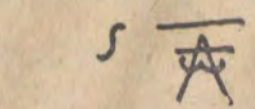
Jean Effel, znany francuski rysownik, również popularny i u nas, opracował wraz ze swym bratem, profesorem Michele Lejeune projekt pisma międzynarodowego. Projekt został przedstawiony na X Kongresie Międzynarodowego Stowarzyszenia Typograficznego, jaki odbył się w ramach UNESCO w dniach 6-10. XI. br.

Na czym polega ów projekt? Otóż jeszcze kilkanaście lat temu Jean

znaki pisma chińskiego, które nie oznaczają dźwięków mowy lecz są ideogramami, to jest oznaczają pojęcia. Dlatego znając pismo chińskie, ideogramy, można je czytać i rozumieć nie znając zupełnie języka chińskiego. Znaki drogowe także są we wszystkich krajach jednakowe, a ich znaczenie ujednolicono, niezależnie od tego jakim językiem ludzie mówią w danym kraju. Również oznaczenia matematyczne są wszędzie jednakowe. Wszystkie te obserwacje posłużyły Effelowi i je-



Ten znak w piśmie systemu „Effelejeune” czyta się: „człowiek”.



A oto zdanie napisane tym systemem: „wszystkie kobiety francuskie”.

Effel zauważył, że dzieci wszędzie oznaczają w niemal identyczny sposób takie najbardziej znane pojęcia jak niebo, słońce, woda itp. Ponadto zwrócił jego uwagę

go bratu do stworzenia międzynarodowego systemu pisma. Opracowali oni jednocześnie najogólniejsze reguły grammatyki i składni dla tego pisma.

ALBUM POŚWIĘCONY PAMIĘCI PAULA ELUARDA

Ukazał się w Paryżu 264-stronicowy album poświęcony pamięci zmarłego przed piętnastu laty Paula Eluarda. Wydawnictwo opracował zięć poety Robert D. Valette. Album zawiera liczne fotografie oraz fotokopie wierszy, dokumentów, listów.

Paul Eluard (właściwie nazwisko: Eugène Grindel) urodził się w roku 1895 w Saint-Denis, zmarł w roku 1932 w Paryżu. Uchodził za najbardziej utalentowanego poeę spośród surrealistów i za najsłynniejszego współczesnego liryka francuskiego. Dzięki wydanemu albumowi można prześledzić w porządku chronologicznym najważniejsze momenty z życia osobistego Eluarda, a więc m. in. jego małżeństwo z Galą w 1917 roku, narodziny Cécile w 1918 r. i w tymże roku spotka-



Claire Etcherelli

nie Eluarda z André Bretonem, który wywarł dość znaczny wpływ na pisarstwo Eluarda, utracone Gali (dziś jest ona żoną Salvadora Dali) w 1929 roku, pojawienie się w życiu poety, Mari

rozwoził się z mężem. Gdy ma lat 22, przybywa do Paryża. Tu Etcherelli podejmuje pracę jako robotnica w zakładach Citroen, następnie w fabryce łożysk kulkowych, potem otrzymuje pracę jako urzędniczka w biurze podróży.

Tematem nagrodzonej książki jest ciężkie życie paryskiej robotnicy. Prix Médicis została w tym roku przyznana Claude Simonowi za powieść pt. „Histoire”. Książka należy do typu tzw. „nowej powieści”, dlatego trudna jest do streszczenia. Jest to dzieło, w którym powieść tego autora.

Claude Simon urodził się w 1913 roku w Tananarive. Obecnie mieszka w Salses pod Perpignan. Zajmuje się uprawą winnicy. Podczas wojny był kawalerzystą. W roku 1940 został uwieczony przez Niemców, ale udało mu się uciec.

JANINA ŁADNOWSKA

Kilka uwag i pytań

Wystawa Pokonkursowa Malarstwa pt. „50 lat Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej” w parku Sienkiewicza w Łodzi, w listopadzie 1967 roku, to wystawa tematyczna. Temat jakże bogaty, szeroki, barwny, pełen konfliktów, walki, bohaterstwa, walki o wielkie idee, a także sprawy małe, bowiem sprawy wielkie na ogół z drobnych spraw się składają, czasy walki władzy z anarchią, sprawiedliwości z bezprawiem. Temat ten to wielki kocioł, z którego artysta może wyciągnąć mnóstwo. Co wyciągnęła grupa łódzkiej malarzy, z której większą część werdyktem sądu konkursowego została laureatami? Czy ich sztuka jest tak zaangażowana, jak sztuka radzieckich artystów sprzed 50 lat? Czy

jest w nich ten płomień, który kazał rewolucyjnym artystom dla wyrażenia nowych rewolucyjnych treści szukać nowych form, zrywać z wszystkim co stare, dążyć do całkowitej integracji sztuki z życiem, do integracji wszystkich dziedzin sztuki, który spowodował, że sztuka radziecka owych czasów to wspaniała, wielobarwna, różnorodna mozaika. Przez płomień ten przeszli Majakowski, Rodczenko, Lissicki, Klucis, Malewicz, Kandinsky, Chagall, a przede i Strzeminski — współpracownik Malewicza w Witebsku. Wszyscy oni wymyślali „policzek gustowi powszechnemu”. Rewolucja była ich rewolucją. Czy mamy prawo od artysty żyjącego pięćdziesiąt lat od tych wydarzeń wymagać takiego płomienia? Czy nie wystarczy nam iskra? Jaka ma być, jaka powinna być wystawa dla uczczenia „dni, które wstrząsnęły światem”? Czy w 1967 roku ma być to swoisty homaż sztuce okresu rewolucji czy ilustracja tamtych czasów, portrety działaczy, domniemyanych sytuacji zaczerpniętych z podręcznika historii — wieców, manifestacji, bitew, zwładow, robotników czytających, uczących się czytać, żołnierzy na koniach, bez koni, z czerwonymi sztandarami, zwycięzców i zwyciężonych, fabryczne pejzaże z ludźmi i bez ludzi, martwe natury z niezbędnymi akcesoriami — czapka budowlanka, chleb,

książki (klasycy), popiersia, kwiaty (czerwone), uświęcone symbole (jednoznaczne), a przecież esasy Rewolucji były także skomplikowane. A Osip Brik (1888-1945, krytyk, teoretyk literatury, zaprzyjaźniony z Majakowskim i „Lefu”) i „Nowego Lefu”) pisał już w 1923 roku: „...malują ciągle to samo: obrazeczki, pejzażyki, portrećki”.

Łódzka wystawa jest to wystawa malarstwa historycznego. Pojętego tak jak w XIX wieku Władysław Łuszczkiewicz, Wojciech Gerson, Jan Matejko pojmowali malarstwo historyczne. Ilustracja wspaniałych czasów. Nieestetyczny płomień Matejki. Wystawa ta reprezentuje swoisty akademizm — chłodny, kulturalny, artyści z dystansem podchodzą do zaradnień, niektórzy z nich są do brymi malarzami — świadomymi swego warsztatu, mistrzami konwencji, którą przyjęli. Benon Liberski na płaskim tle ze znakomitym, dramatycznym plakatem „Głód” maluje przestrzeń nie głowę Lenina — obraz ten działa sam jak plakat — jednoznacznie, silnie, lśnią czerwoną, białą, czernią. Poetycka Czapałowa u Liberskiego (wyróżnienie) to prosił słowami odpowiedziana baśń o bohaterstwie dzielnych, legendarnych żołnierzy. „Lenin rozmawia z żołnierzami” — skupiona grupa czterech postaci stoi na bruku, błąsząc naboje, błąsząc

się poza Związek Radziecki, poza problematykę ściśle z Październikiem związaną. Te „dziesiąt dni” są naszą współczesnością. Nie tylko nasza. To nie jest historia, tylko rzeczywistość. Rzeczywistość ta wieksza się w swia domość artysty tysiącem kanałów, środkami masowego przekazu — poprzez radio, telewizję, ilustrowane magazyny, książki, wreszcie podróże. Rzeczywistość ta dotyczy spraw społeczno-politycznych — trudnych, skomplikowanych, różnych wszędzie, sytuacji ludzi w świecie, który się ciągle zmienia, a przecież właśnie drożdżami owych zmian był Październik, ludzie walczących, ludzi słabych i silnych, często zagubionych wśród przedmiotów, które sami stworzyli. Wreszcie rzeczywistość sztuki współczesnej, tej której protagonistami są artyści właśnie w tygu Wielkiej Rewolucji Październikowej wygotowani.

Może nadmiar tych informacji powoduje zmierzchni malarstwa historycznego? Może organizując podobne konkursy należałoby rozszerzyć zakres tematyczny przyjmowanych prac? Może ciekawie byłoby konfrontacje artystów z różnych środowisk twórczych, a może nawet z krajin zachodnich, w których nie brak przecież artystów szczerze i żarliwie zaangażowanych.

BERNARD SZTAJNERT

Napad na pociąg pod Widozowem

„W pierwszy dzień wielkiego postu porzuciłem pracę w fabryce „Błachownia” i pojechałem do Częstochowy. Na drugi dzień, po przyjeździe spotkałem się na Nowym Mieście z jadącymi dorozką od strony Jasnej Góry — „Sepem” i „Janem”, Siaboszem i Jachem. Siabosz zatrzymał do rozki i wzywał mnie do niej. Pojechaliśmy do restauracji. Po wiedzeli, że szykuje napad na pociąg pod Widozowem. O szczegółach nie mówili, zaproponowałam im udział. Zgodziłem się. — Tak rozpoczęły się zeznania Michała Bigosińskiego, znajdującego się w szpitalu pod wez. Najświętszej Marii Panny w Częstochowie”.

Wieczorem pojechaliśmy do Noworadomska, po wyjściu z pociągu poszliśmy przez wieś Polwarki, do lasu, zatrzymując się w domu leśnika Kazimierza Flakowskiego. Był tam już Edward Długowski — „Zemsta”, Juliusz Jaszko — „Siwek”, Stanisław Bednarkiewicz — „Sergiej”, Roman Okun — „Marcel”. Poza przybyłymi z nim Józefem Piątkiem — „Sepem”, Stefanem Siaboszem — „Wulkanem”, Edwardem Jachem — „Mściślelem”, Bigosiński wspomina jeszcze „Jana”, którym był Józef Banaszczyk — („Banach”, „Kuternoga”).

Przez dwa tygodnie ćwiczyliśmy marsze, biegły obroty bronią stojąc, leżąc i z kolana, strzelano do celu. Na dwa dni przed napadem przyjechał z Piotrkowa, ubogo ubrany, kolejarz, rozmawiał z Długowskim, wyciągał ile kasetek z pieniędzmi wielebny pociąg. Klucze kasetek były dwa, jeden w Warszawie, drugi w wiadomości stacji, dla której przeznaczono. Kolejarz dnia tego odszedł, nazajutrz zaś przybył inny, nieźle ubrany, nazywano go „Pawel”, ten obświadczył, że weźmie udział w akcji. Długowski wspominał jeszcze o kimś z Piotrkowa, ale ten na termin nie przybył. Akcję miało przeprowadzić wg planu „Sepa”, wzorowanego na napadzie dokonanym przez bojówkę PPS pod Celestynowem.

W oznaczonym dniu ludzie go towi do drogi. Skarpetki i buty napuszone tuszem, ciepłe koszule na sobie, broń wyszczyszczona i nabita. „Sergiej” i „Pawel” wyszli wcześniej do Noworadomska, gdzie mieli wstaść do pociągu osobowego, zaraz za wagonem bagażowym. „Siwek” natomiast otrzymał za danie dostarczenia podwoju na oznaczone miejsce. „Wulkan” wydał Bigosińskiemu browning i 60 naboł, po czym razem z „Zemstą”, „Sepem”, „Marcielem”, „Mściślelem” i „Janem” wyszli, maszerując 5-6 wiorst, trzymając się lasu. Przybyli na miejsce. Była to kotlina z drzew po obu stronach toru rosnących. Wysokopienne sosny obejmowały teren długości 10 a, szerokości 2 wiorst. Wybrano miejsce oddalone od stacji „Wi-

dów”, na linii Noworadomska — Częstochowa. Było to 29 marca 1911 r., godz. 5 po poł. Pociąg zbliżał się, słychać było sapanie lokomotywy, z której dymy, w tym tunelu z drzew, kładły się nisko. Rozstawieni na pozycjach poczuli kasnąć. Jadący pociągiem „Sergiej” wychylił się z okna wagonu, „Sep” dał ręką znak. „Sergiej” cofnął się gwałtownym odruchem, chwycił rączkę hamulca, szarpnął. Maszynista zahamował, pociąg powoli stał. Napastnicy błyskawicznie podjęli wyznaczone zadania. Do parowozu wdrapał się „Wulkan”, za nim „Jan”. Na widok lufy browninga maszynista i po mocnik podnieśli ręce. Natomiast do wagonu bagażowego wskoczyli. Jeden po drugim, „Zemsta”, „Mściślel” i Bigosiński. Dwa ostatni skierowali broń do konduktorów, „Zemsta” spytał: — gdzie kasetki z pieniędzmi? — wskazano, on zaś zaczął wyrzucać je na zewnątrz. „Sep” — odbierał początkowo „Jan”, przy maszyniście postawił on „Wulkan”, oraz „Sergieja” i „Pawła”, którzy, gdy pociąg stał wyskoczyli z niego, a biegnąc wzdłuż wagonów osobowych, strzelali w powietrze, wzywając podróżnych do nieopuszczenia miejsc i nie wychylania się z okien. Wielu pasażerów padło na jawki i na podłogi wagonów. Jeden jednak, mieszkaniec Częstochowy, nie wytrzymał nerwowo, wyszedł z wagonu, nadział się niespodziewanie na ostrzeżenie, który nieposłusznemu wpakował kulę w pierś. Na początku i na końcu pociągu, z obu stron toru, stanęli „Sep” i „Marcel”, pilnując, by nikt z pasażerów nie dostał się do lasu. „Sergiej” i „Pawel” mogli więc przyjąć z pomocą „Janowi”, wracając do wagonu bagażowego. Tam kasetek było 20, wyrzucono 17, pozostałe „Zemsta” rzucił pod nogi konduktorom, szelmowsko mrugawszy do nich okiem. Bigosiński spytał, czemu trzy zostawia? Odpowiedział krótko: — „One tu zostaną”, do czym spokojnie przekazał konduktorom pokwitowanie, stwierdzające, że konfiskaty dokonano „Grupa Rewolucjonistów — Mściślel”. Nie zawierano kwoty, bo napastnicy nie wiedzieli jeszcze jaka ona będzie. Kartka posiadała pieczęć, odbita czerwonym tuszem, na której była trudna głowka z dwoma skrzyżowanymi niszczkami, nad czym wokół nazwa organizacji. Cała akcja trwała za ledwie kilka minut, w czasie którym to, napastnicy odcięli jeszcze parowóz („Pawel”) od pociągu, nie pozwalając odjechać od niego i stanąć z dala, co maszynista posłusznie wykonał. „Jan” zakradł się do rozbitania kasetek. Dano ten od wezła. Zakazano obłudze poruszania się w ciągu pół godziny.

„Zemsta” dał sygnał ukonfiskowania akcji. Uczestnicy ukieśli się do miejsca z kasetkami, a podławszy je, szybko zniknęli w gęstwinie lasnej.

Szybkość akcji, zdecydowanie napastników, na dobitkę ranny pasażer, umysłowy powagę sytuacji reszcie ludzi, którzy teraz powychodzili z wagonów, zdenerwowani i przestraszani. Udzielono pomocy rannemu, wnosząc go do wagonu. Wszyscy ko to zajęło czas, tak że prawie w terminie wskazanym przez napastników, pociąg ruszył, aby po następnej pół godzinie przybyć do stacji Kłomnice, skąd zaalarmowano policję Noworadomska. Naczelnik powiatu powiadomiwszy Częstochowę i Piotrków, sam zebrał 20 strażników i paru agentów śledczych, pierwszym jadącym pociągiem towarowym udał się na miejsce napadu. Tu, stowrzyszy dwa oddziały, zaczął przeczyszczać las. Na jego brzoź znalazł cztery rozbita kasetki i 245 rb. wzbrem oraz kilka kawałków zakrwawionego na pieru. Widocznie ktoś zranił się młotem przy rozbitaniu kasetek. W gębi lasu znaleziono dalsze cztery kasetki.

Z nastaniem nocy zaniechano poszukiwań, oddziały zakwaterowały w pobliskich wsiach. Otrzymałyśmy depesze, gubernator Piotrkowski zarządził ostre pogotowie w całej gubernacji.

ni, polecił obsadzić wszystkie drogi, zwrócił się do sąsiedniego gubernatora kieleckiego za pomocą podobne zarządzenie. Sam zaś, około godz. 10 wieczór udał się do Noworadomska, wioząc za sobą 15 strażników i 20 agentów śledczych na pomoc tamtejszej policji, która obrabowywał pociąg, wraz z pasażerami, zatrzymała na dworcu. Z Częstochowy do Noworadomska przybyło wczajem 40 strażników konnych i 40 buzarów z oficerami na czele. Mieszalac ich, podzielono na trzy oddziały, do kontrolowania dróg w powiecie. Gubernator zlecił, by zwrócić się do dowódcy wojskowego częstochowskiego o nastędnego jeszcze szwadronu buzarów. Nazajutrz skoro świt, przystąpiono do dalszego przeszukiwania lasu, w którym znaleziono sześć następnych kasetek, zawie-

rających 17.211 rb. i 80 kopiełek, ponadto czek na 3.180 rb. Łącznie z dalszymi kasetkami znajdowało się 49.831 rb. 21 kopiełek. Wg oświadczenia Kolei, w pociągu wzięto w tym czasie 65.540 rb. 21 kop. Zamachowcom więc pozostało do dyspozycji 24.709 rubli papierowych, srebro, jako ciężkie rozsypano na ziemi.

Na wieść o napadzie, policja, żandarmeria i wojsko rozjechały silne oddziały na drogę powiatową — Łódzkiego, brzezińskiego, częstochowskiego, noworadomskiego, w okolicy Kuluszek, wszędzie przeczyszczano lasy, rewidowano podróżnych na dworcach, przystankach kolejowych, na szosach i drogach. Pod Łodzią obstawiono wszystkie przystanki tramwajów dojazdowych. Aresztowano wszystkich, którzy wydawali się podejrzani. W tej szeroko zakrojonej obławie brało udział przeszło tysiąc ludzi.

W Noworadomsku dochodzenie prowadził Piotrkowski prokurator Łaszyń. Wystraszeni podróżni niewiele wnieśli. Będąc niedaleko napadu dróżnik, zoczywszy zatrzymujących w lesie pociąg, począł do niego biec, strzaly osadzili go, pad-

ku. Śledztwo prowadzone na miejscu napadu doprowadziło do uciekających do wsi Wlków, tam ślady się urwały. W Łodzi policja badała alibi wszystkich robotników, którzy w różnych powodów nie byli w tym czasie w pracy. W Częstochowie przeprowadzono obławę na przedmieściach Ostatni Grosz i Raków, w tym ostatnim zatrzymano b. członka bojówki PPS — Wiktora Weisla, w mieszkaniu znaleziono browning. W bezdzińskim powiecie ostre środki badał stowal naczelnik Mirbach, który otrzymał od Rewolucjonistów — Mściślel list: „Szanownego Pana Barona Mirbacha upraszam pod groźbą śmierci, aby mniej gorliwie poszukiwał uczestników napadu, gdyż biedniemu musielł usunąć Pana Barona”. Była to prawdopodobnie chęć skierowania poszukiwań na fałszywą drogę. Uczestników nie schwytano. Dopiero w lipcu zatrzymano Bigosiński, przyznał się i podał: — „Zaraz po opuszczeniu pociągu, w lesie, przystąpił do rozbitania kasetek, których udało się nam rozbić 7-8, reszcie, nie rozbite, zostawiliśmy w lesie. Jach — „Siwek”, który miał dostarczyć podwoje, nie

wśród ludzi legenda, np. policja zanotowała i to, że mieszkańcy Częstochowy, przemocowała i jakiejś kobiety, na ul. Krakowskiej, dając jej za to 1.000 rubli, „bo im się podobała”. Policja stanęła przed zagadką, kto imiennie brał udział i gdzie się skrył. Pewne światło rzuciły zeznania Bigosińskiego.

1) Nazwisko „Sepa” (Józef Piątek) znane było tylko w tym czasie Długowskemu.

2) Józef Banaszczyk („Jan”, „Banach”, „Kuternoga”), po śmierci Długowskiego dowódca bojowców w Łodzi, przeznaczył Michała Bigosińskiego na organizatora „piątki” w Częstochowie. Niefortunny to wybór, nie posiadał on zdolności organizacyjnych i co b. ważne, żadnej stałej meliny. Np. po napadzie pod Widozowem poszedłszy do Częstochowy, w ciągu trzech tygodni nocował w jednym z ogrodów przy ul. Wieluńskiej. Podobnie po otrzymaniu nowego zadania, po powrocie z Łodzi, 9 lipca 1911 r., ubrojeny, walczył się po ulicach, zwrócił uwagę policji, wdał się w walkę, ranny w nogę, i opatkę i szyję, został ujęty. Znalaziono dwa browningi (jeden z wystrzelonym magazynkiem), trzy zapasowe magazynki, woreczek ze 154 nabojami, pieczęć Rewolucjonistów-Mściślel, poduszke z czerwonym tuszem, kornaj, paszporty — na Jana s. Teofila Turpewicza i Ludwika Kłomnickiego. Błowski początkowo zaprzeczał przynależności do Grupy — wbrew dowodom — do znajomości z Długowskim i innymi, potem przyznał się do swego nazwiska. I zaczął mówić — notujcie Ochra.

3) Obecnie Radomsko.

4) W roku 1906 kilkunastu uzbrojonych bojowców PPS zatrzymano pod Celestynowem pociąg, zmuszając służbę do odcięcia lokomotywy wraz z brankardem i wagonem pocztowym. Zabrawszy pieniądze, wyprawione z poszczególnych kas stacyjnych, młodzieży zniknęli w zaroślach.

5) Wiorsta — dawna rosyjska miara długości, 1,0668 km.

6) Powszechnie sądzono, że napadu dokonała bojówka PPS. Zaprzeczył temu „Przedświt”, miesięcznik partyjny, frakcji rewolucyjnej (Nr 5 mar 1911), sugerując nawet, że napad ten był zorganizowany przez samą Ochra, która w porozumieniu z senatorem Neudhardtem dążyła do skompromitowania generał-gubernatora Skabona — miał on być przyjeździe przez cara w Spale. Wobec napadu pod Widozowem car do Spaly nie przybył.

Natomiast odczwa C.K.R. PPS z kwietnia 1911 r. oświadczała, że „z postępkami tymi PPS nie wspólnego nie ma. Jak w ogóle nigdy, w żadnym wypadku partia własności prywatnej nie tykała i również nie tolerowała podobnych czynów u swych członków, wylamujących się spod dyscypliny partyjnej, usuwając bez litości te nieliczne jednostki, które by się ich dopuszczaly”.



Napad na pociąg pod Celestynowem, 1906 r.



Lewym okiem

FORTUNA ZA DWA ZŁOTE

Przed kilkoma laty, ilekroć wyjechałem służbowo do Bydgoszczy, wracałem stamtąd z dużą paką książek. Może nie zauważyłem, a może Bydgoszcz była naprawdę pierwszym miastem, w którym — i to w najbardziej ożywionym punkcie — uruchomiono księgarnię precenionych książek. Nie antykwariat, bo książki używanych nie kupowano. Ale też i nie sklep z bukami, z przyszytymi księgarskimi „ceglami”, bo prowadzono tam oprócz rzeczy faktycznie trudnionych także sprzedaż egzemplarzy wybrakowanych, uszkodzonych, nieświeżych. Ot — książka leżała na wystawie i okładka straciła kolor. Albo na wózku zabrudziły ją sadze i kurz, albo intrologator krzywo przyciął kilka kartek. Takiego egzemplarza naturalnie nikt już w księgarńi normalnej nie kupi, każdy klient będzie szukał sztuki czystszej i piękniejszej i ma rację. Ale książka to jednak dziwny towar i specyficznych miwa nabywców. Osobiście lepiej się czuje w domu, w którym na półkach stoją obok nowości — książki stare, spatybowane, sfatygo-

wane, niż w takim, gdzie szafa biblioteczna wygląda jak regał w księgarni; same najnowsze wydania. Nie przeszkadza mi fakt, że dwa tomy Opowiadań Iwaszkiewicza różnią się odcieniem płóciennych okładek, bo jeden leżał w słońcu a drugi w podłomie — w cieniu. Ten minimalny kosmetyczny mankament równoważy mi z nadwyżką groteskowo niską ceną, możliwość przebrania po półkach z całą satysfakcją bibliofila, możliwość znalezienia całkiem apetycznych pozycji za psie pieniądze, wyjścia ze sklepu z czubatym naczemem wartościowych książek, na które inaczej tak łatwo bym się nie zdobył, przynajmniej nie za jednym zamachem.

Nie wszyscy wiedzą, że i w Łodzi mamy taki sklep. Raz czy dwa razy do roku organizuje się z dużą reklamą wyprzedaż książek precenionych. Wtedy do lokalu w gębi podwórza przy Piotrkowskiej 5 wala tłumy i setki ręk przebiegają wciąż z same od lat tytuły, wciąż niewyczerpane, ciągle wydające z piwnicy i precenionych magazynów. Przeważnie z data wydania sprzed dwunastu lat.

Niewiele natomiast osób odwiedza małą, a sympatyczną wewnątrz sklepik przy Placu Wolności, między Ratuszem a najstarszą apteką Łodzi. Nie wiem, ile trzeba dopłacić do tego sklepu, żeby istniał, ale dobrze jest i słusznie, że się dopłaca. To jest właśnie ten sklepik gdzie za dwa złote (dwa złote!) kupisz każdy tom Struga w płócienną oprawie. Kupcie „Fortunę” Kasiera Spiewankiewicza; lepsze nawet od Zayder-Zborowskiego! Kupcie Szmagłewską za złotówkę, Rudnickiego, takich klasyków jak A. France („N” białym komieniu” — jeden złoty!), Alfonsa Daudet, Duhamela, „Przyjęcie w wielkim świecie” Henryka Manna za cztery złote i sto innych okazji. Dla tych wszystkich, którzy kochają książki tania się na nie, potrafią wybrać, a którzy nie

opływają w nadmiar środków obrotowych — sklep przy Placu Wolności stoi otworem.

Naturalnie, mogłoby być lepiej. Wielkiego wyboru nie ma i być nie może, zwłaszcza, że zdecydowanie cęty, od urodzenia skazane na przemiał, nie trafiają tu na półki. Trafiają — jak mój pitem — nieliczne uszkodzone egzemplarze, trochę dekompletów, sporo dzieł rzukowych, wydrukowanych kiedyś w zbyt dużych nakładach. Nie ma wielkiej obfitości, ale to co jest kupisz tu dziesięć razy taniej niż w antykwariatach, albo na Czerwonym Rynku. Te same tytuły. Mogę służyć przykładami.

W felietonie sprzed dwóch lat (jak ten czas licil) dawalem wyraz zdziwieniu, że zarządzenie Ministra Handlu Wewnętrzne polecało nie wykładać cen na książkach, leżących w witrach sklepowych. Książki były pod tym względem potraktowane zupełnie wyjątkowo w stosunku do wszystkich innych towarów. Widocznie zarządzenie zmieniono, bo oto chodzę po mieście i widzę w każdej księgarni, na każdej książce, dobrze czytelną karteczkę z ceną. Bardzo dobrze. Trochę mniej dobrze, że te same książki, biegnące, nie jakieś starocie, kosztują w antykwariacie około półtora, ledwie, ledwie mniej niż w sianie dziewczęciu czystym, w księgarni. Cóż to za różnica — pięć złotych opustu na sześćdziesiąt ceny pierwotnej? To już półtora parę kroków dalej i Kupię „Czarodziejską Górę” nieużywaną. Tak samo „O rząd i granice” Zabięty. Tak samo z tuzinem innych tytułów, bynajmniej nie wyczerpanych.

Przed świętami zapelniają się księgarnie. Najpiękniejszy upominek dla każdego. A dla siebie, Czytelniku, dla siebie szukając — zajrzyj też i na Plac Wolności. A nuż się coś trafi.

CWIEK